...ano do kontroli ...ejskiej wypoży... książe... dla dorosłych
...9.....r.

Cena 20 zł.

KUŹNICA

Rok III Łódź, 22 września 1947 r. Nr 38 (107)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Istnienie świadomości socjalistycznej stanowi dla ruchu robotniczego rzecz szczególnej wagi. Ideologia pomaga ruchowi w posuwaniu się naprzód i dlatego świadomość socjalistyczna ma wielkie znaczenie dla ruchu.

J. Stalin

TREŚĆ NUMERU:

GEORGES MOUNIN — **MY CYWILIZACJE**

ROGER GARAUDY — **KOMUNIZM I MORALNOŚĆ (VIII)**

K. W. ZAWODZIŃSKI — **ISTOTA POLSKIEGO WIERSZA CZYSTO TONICZNEGO**

HORACY — **WIERSZE — PRZEKŁAD JULIANA TUWIMA**

ADAM WAŻYK **ŚMIERĆ ZENOBII**

ADAM MAUERSBERGER — **Z PAMIĘTNIKA KARDYNAŁA RETZA**

WILHELM SZEWCZYK — **W SPRAWIE NIEMIECKIEJ**

STEFAN OTWINOWSKI — **W KRAKOWIE**

PRZEGLĄD PRASY

NOTY

GEORGES MOUNIN

Przekład ARTURA SANDAUERA

MY, CYWILIZACJE...

CZY SŁUSZNE jest twierdzenie, jakobyśmy przeżywali obecnie kryzys cywilizacji? Mówiono o nim w roku 1756, w 1790 i w 1817, w 1831 i w 1850, 1871 i w 1919. Ilekroć cywilizacja zmieniała skórę, miłośnicy dawnej mówili o jej śmierci. Język panikarzy intelektualnych jest mało urozmaicony; międzynarodówka pesymistów ma przodków w Pompignanie, który już za dni Diderota opłakiwał zgon cywilizacji, w Józefie de Maistre i w niepocieszonym Bonaldzie, w przerażonych Paryską Komuną Taine'ie i Renanie. Nie jest to chwalebna genealogia...

Czytałem ostatnio na nowo jednego z tych apostołów jasności, których jaśność polega na mieszaniu kryzysu własnego ducha z kryzysem ducha wogóle: myślę o Pawle Valéry, autorze „Kryzysu ducha". Nieszczęśliwy ten prorok zapowiada agonię duszy europejskiej; przerażony rewolucją rosyjską, głosi, iż zbliżamy się ku społeczeństwu zwierzęcemu, ku ostatecznemu i doskonałemu mrowisku; i — wciąż pod wrażeniem tejże rewolucji pisze: „Czujemy, że cywilizacja jest równie krucha, jak ludzkie życie. Okoliczności, które by skierowały dzieła Keatsa i Baudelaire'a tam, gdzie znajdują się dzieła Menandra, nie są niewyobrażalne: można znaleźć je w dziennikach".

Po Stalingradzie Valéry — być może nieświadomie — wyrzekł się tej koncepcji Europy, z której dedukował nieuchronną śmierć naszej kultury. „Chodzi o to — pisze w 1944 roku — aby wyobrazić sobie zupełnie nową erę. Narasta szereg zgoła niebywałych zagadnień, wobec których wszelkie nauki przeszłości są bezużyteczne. Podczas gdy spóźniony uczeń „Kryzysu ducha", Malraux wynajdywał na nowo cywilizację atlantycką i blok zachodni, jeden z twórców utopii europejskiej, sam Valéry ostrzegał czytelników przed wkraczaniem w przyszłość — tyłem. Przeceniać — chociażby w związku z bombą atomową — kryzys naszej cywilizacji — to sposób, aby wymknąć się konkretnym rozwiązaniom pogrążając się w ogólnikowej rozpaczy. Nie mam zamiaru — w ferworze polemicznym — negować tego kryzysu; odgraniczam się jedynie od tych, którzy znajdują w nim pretekst do bezradnego założenia rąk.

Kryzys cywilizacji istnieje. Bywały chwile, gdy wydawał się ostateczny. Między 15 czerwca a 15 sierpnia można było lękać się zwycięstwa faszyzmu. Dzisiaj możemy sobie — bez histerii — zadać pytanie, jak ułożyłyby się losy świata, gdyby kapitalizm zwyciężył. Dla eksperymentu warto sobie czasem wyobrazić najgorszą możliwość. Lecz — nawet przyjmując tę hipotezę — nie należy rozpaczać ani zachęcać do dezercji. Świat nie od dziś wkroczył w epokę morderców.

Hipotezę ostatecznego kryzysu naszej cywilizacji postawiono już dawniej: mam na myśli „Żelazną stopę" Londona, której żaden szanujący się krytyk nie czyta, ponieważ jest ona również odległa od definicji powieści współczesnej, jak „Robinson Crusoe" od powieści XVII-wiecznej. W 1907 roku London przedstawia pełne zwycięstwo kapitalizmu nad proletariatem i regresję mas do bezradnej apatii, której możliwość przypuszczał jeszcze w 1935 roku Vaillant-Couturier w swej słynnej przedmowie

Od tego czasu Niemcy i Włochy dowiodły nam, że można narody znieczulić na całe lata: okupacja hitlerowska dała przykład teroryzmu wojskowego, niezbyt różnego od tego, jaki przedstawia London. W świecie, gdzie szantaż bomby atomowej przyniósłby zwycięstwo oligarchii amerykańskiej, powieść Londona, poparta przykładami bolszewizmu i Ruchu Oporu, wciąż jeszcze podniecałaby do dalszej walki. Dziś jeszcze pozostaje ona jedną z najlepszych odtrutek na panikę atomową. Wspominamy o niej poto, by — w chwili kryzysu cywilizacji — ostrzec przed pogrążeniem się w bierności.

Błędem byłoby dopatrywać się przyczyn kryzysu w ciasnej ideologii, w nazbyt sztywnym dogmatyźmie. Dogmatyzm ma być podobno wynikiem wojny i cenzury, haseł i samowystarczalności. Ale wojna i cenzura mają swoje przyczyny, które należy sformułować. Potępiać abstrakcyjnie wszystkie ideologie, wszystkie cenzury i hasła — znaczy ominąć istotę dyskusji. Każdy wie dobrze, że w chwili obecnej istnieją tylko dwie ideologie zasadnicze, kapitalizm wraz ze wszystkimi uzasadnieniami ideologicznymi i marksizm. Od stu lat, odkąd narodził się marksizm, wszystkie próby stworzenia trzeciej partii, z której szczytu można by spozierać na tamte, spełzły na niczym czy raczej obróciły się w podporę kapitalizmu. Każdy człowiek, który pragnie uczciwie stanąć na usługach cywilizacji — tylko cywilizacji chociażby — musi przyjąć ten dylemat: za czy przeciw kapitalizmowi t. zn. — w chwili obecnej — za faszyzmem, udoskonalonym instrumentem władzy kapitału czy za demokracją, narzędziem ludu w walce z kapitałem. Trzeba wybierać: gest Piłata nie ocali cywilizacji.

Nic lepiej nie ilustruje tego błędu, niż okólniki o propagandzie: również i propaganda ma swoje przyczyny i nie należy łączyć pod tą samą etykietą fabrykacji kłamstwa z propagowaniem prawdy — pod pretekstem, że narzędzie jest w obu wypadkach identyczne. Zamiast mówić z pogardą o propagandzie należy stwierdzić gdzie jest kłamstwo. Propaganda jest bowiem rozmyślnym propagowaniem kłamstwa. Kiedy korespondent amerykański podczas konferencji w Teheranie telegrafował do swego dziennikarza, że Stalin obił Timoszenkę podczas oficjalnego przyjęcia, wiedział, że kłamie. Kiedy inne gazety amerykańskie rozsiewały pogłoski, że w 1945 roku Stalin został zdegradowany przez Mołotowa, wiedziały, że kłamią, podobnie jak wie, że kłamie „Combat" czy „Carrefour", kiedy z wielką obfitością szczegółów informuje nas o wewnętrznych sporach między Thorezem a Ducos, Thorezem a Marty, Thorezem a Mauvais. Jeśli nie wiedzą, tym gorzej dla nich, ale informatorzy i donosiciele, którzy im podszeptują te bzdury, wiedzą, że kłamią i — w najlepszym wypadku — służą jako alibi, aby było na kogo zrzucić winę. Kiedy najnowsze wydanie „Historii doktryn ekonomicznych" Gide'a i Rista podaje, że „większość marksistów zarzuciła obecnie teorię pracy—wartości i coraz częściej przyjmuje zasadę użyteczności lub równowagi ekonomicznej", nie wiemy, czego życzyć p. Ristowi: czy aby się mylił czy aby był świadomym kłamcą. Ale codzienne powtarzanie prawdy nie jest propagandą. To walka o prawdę. Należy powtarzać, ile razy będzie to potrzebne, że faszyzm nie został doszczętnie zniszczony, że ważniejsze jest bezpieczeństwo państw, które padły ofiarą Niemiec od odbudowy Niemiec, że imperializm anglo-saski dławi demokrację grecką, że sekret bomby atomowej jest szantażem. To nie propaganda, to stwierdzenie oczywistych faktów.

Konflikt ideologii, walka propagandy wielokształtnej, bezlitosnej, umiejętnej i podstępnej z prawdą, która dąży do zniszczenia — to nie przyczyna kryzysu cywilizacyjnego, lecz skutek innego kryzysu, którego tamten jest tylko odbiciem.

Powtórzę zatem jeszcze raz — narażając się na zarzut schematyzmu—iż pojęcie wartości dodatkowej zdaje dokładnie sprawę z obecnej fazy wyzysku człowieka przez człowieka, że walka klas jest nadal faktem oczywistym, że podana przez Lenina definicja marksizmu naświetla o wiele lepiej politykę zagraniczną Ameryki, niż rozważania Spenglera czy Kayserlinga o istocie Zachodu, że wreszcie definicja faszyzmu jako jawnej dyktatury terorystycznej najbardziej wstecznych elementów wielkiego kapitału pozostaje kluczem do dzisiejszych politycznych zagadek.

Toteż dla marksisty obecny kryzys cywilizacyjny jest tylko zagadnieniem analizy współczesnych form kryzysu, kapitalizmu istniejącego od stu lat: ślady i odrodzenie faszyzmu, przemieszczenie środków ciężkości imperializmu, wzrost siły demokracyj, zawiła i ciągła ewolucja form walki. Analiza ta jest zapisana w rocznikach partii komunistycznych — od chwili upadku Berlina. Lecz — zamiast się rozwodzić nad marksistowskim tłumaczeniem obecnego kryzysu, należałoby raczej zbadać jego odbicie w świadomości intelektualistów. Stwierdzam zatem w pierwszym rzędzie ciągły postęp partii komunistycznej t. j. marksistowskiego rozwiązania kryzysu naszej cywilizacji wśród intelektualistów. Od roku 1944 przeprowadzono niejednokrotnie ankiety na temat komunizmu, właśnie w chwili, gdy należało zatrzymać wzrost sympatii dla partii, do której wstępowali Langevin i Joliot-Curie, Eluard i Picasso i tylu innych. Większość tych ankiet zdawała się urządzona poto, aby usprawiedliwić niezdecydowanie niezdecydowanych. Usiłowania te zawiodły i — tu dodam pewien szczegół, widoczny tylko od wewnątrz: nasz udział w odbudowie Francji podwyższa jakość napływających do nas intelektualistów. Póki znajdowaliśmy się w opozycji, napływał do nas szereg ludzi zgorzkniałych i malkontentów. Obecnie ci, którzy przychodzą do nas, to ludzie, którzy chcą i umieją czegoś dokonać: tak rzadcy dawniej inżynierowie, nauczyciele, wszelkiego rodzaju technicy, wreszcie ci z kierowników przedsiębiorstw, którzy bardziej są zainteresowani w produkcji niż w zysku. Jeśliby partia komunistyczna miała nazajutrz objąć władzę, miałaby poparcie prawie całej walczącej inteligencji francuskiej.

Obok tego ciągłego wzrostu jesteśmy świadkami kryzysu wśród pewnej — nieznacznej — grupy intelektualistów. Można by ją pominąć, gdybyśmy mieli zamiar pomijać tu cokolwiek: nie chodzi tu zresztą o tę grupę samą, lecz o sposób jej wykorzystania. W okresie „Nadziei" Malraux czytano — jako Malraux; dziś używa się go jako argumentu: dziwne artykuły, dziwne odczyty, o Malraux, które mu zyskują jako publiczność — byłych słuchaczy Maurrasa. Snobistyczny sukces egzystencjalizmu należy również zaliczyć do antykomunistycznych posunięć: po wyciśnięciu pomarańczy odrzuci się łupinę.

W sposób najogólniejszy stwierdzić można, że rozterka pewnych intelektualistów wobec kryzysu naszej cywilizacji wynika z konieczności wyboru między dwiema postawami: intelektualisty, który obserwuje historię i marksisty, który ją tworzy; Valery'ego, który mówi „My, cywilizacje, wiemy teraz, że jesteśmy śmiertelne" i Marksa, gdy mówi: „Dotychczas filozofowie objaśniali świat, teraz należy go przekształcić". Dla tych, którzy się zajmowali psychologią strachu znanym jest faktem różnica między paniką widza a zimną krwią działającego. Valery nie zastanawia się, dlaczego ani jakim sposobem zginęły pewne cywilizacje; ani wreszcie w jakiej mierze Elam, Niniwa i Babylon przekazały swe dziedzictwo Tebom, Tyrowi i Atenom, a tym samym i nam. Co uderza marksistę, to mechaniczność tego sposobu myślenia. Dla niego słowo „cywilizacja" oznacza pojęcie odmienne, gdy odnosi się do wysepek prefaraońskich na Saharze niż wtedy, gdy mówimy o świecie współczesnym. Nie można go stosować zawsze w tym samym sensie. Marksista nie zapomina nigdy o jakościowych różnicach między naszą cywilizacją a poprzednimi: nasza obejmuje świat cały i tym samym problem jej zachowania jest inny, niż poprzednio, co dalej, po raz pierwszy posiada ona ogólnie zrozumiały środek porozumiewawczy: formułę naukową, która nic nie ma wspólnego z formami pytyjskimi, przedlogicznymi, rytualnymi czy artystycznymi, które były wyrazem cywilizacyj poprzednich. Śladem Valery'ego i Malraux wprowadza solipsyzm do cywilizacji, przekłada mechanicznie względny i aproksamatyczny solipsyzm pewnych cywilizacyj minionych na absolutny solipsyzm wszelkich cywilizacyj.

Nie przyczyni się do rozwiązania kryzysu naszej cywilizacji ten, kto nie dojrzy jej prawdziwych przyczyn i nie wystąpi do walki z nimi. Ci, którzy nic nie robią dla zwalczenia prawdziwego kryzysu naszej cywilizacji, będą dalej pisać co dziesięć lat: „My, cywilizacje, wiemy, że jesteśmy śmiertelne", Inni ocalą naszą cywilizację przed zagładą i przekształcą świat.

Georges Mounin

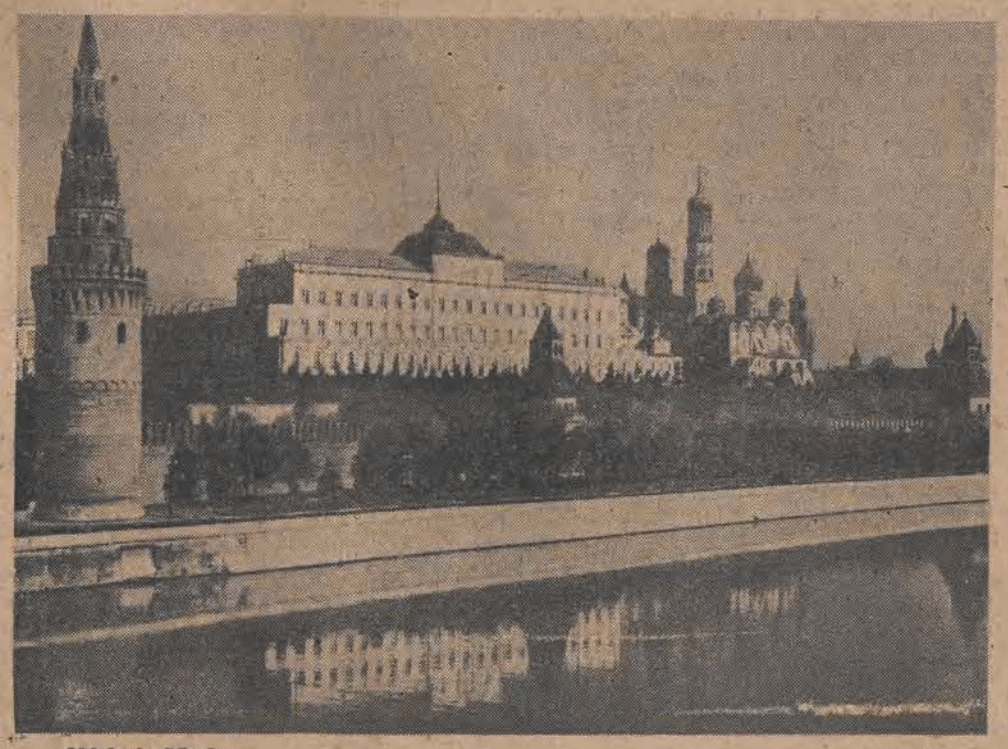

800-lecie Moskwy **Kreml**

ROGER GARAUDY

Przekład PAWŁA HERTZA

KOMUNIZM I MORALNOŚĆ*) (VII)

PONIEWAŻ wychowanie i warunki zależą od ustroju, Helwecjusz do przeprowadzeniu świetnej analizy tworzenia się i doboru „elit" stwierdza rzecz następującą:

Twierdzę, iż w obecnej formie naszego ustroju przeważna ilość warunków, których udział jest całkowicie niezbędny dla wychowania ludzi wielkich, sprzeciwia się temu rozwojowi (III, 27).

Tam, gdzie Helwecjusz kończy swoją myśl, rozpoczyna swoją działalność Rewolucja. Rewolucja wysnuwa prawdziwe, nieuniknione i praktyczne wnioski z nauk moralnych Helwecjusza.

Robespierre „dotrzymał obietnic filozofii", gdy określił w swoim sprawozdaniu z 18 Pluviose, II roku ery rewolucyjnej, program Jakobinów:

Chcemy takiego porządku rzeczy, w którym wszelkie namiętności niskie i okrutne byłyby okiełznane, zaś wszystkie namiętności dobroczynne i szlachetne — poparte przez prawa; pragniemy, by chęć zasłużenia na sławę i służba ojczyźnie były ambicją każdego; by wyróżnienia rodziły się z samej tylko równości: by obywatel był podporządkowany urzędnikowi, urzędnik ludowi, zaś lud — sprawiedliwości; by ojczyzna zapewniła dobrobyt każdej jednostce i by każda jednostka z dumą korzystała z dobrobytu i sławy ojczyzny; by wszystkie dusze natchnione nieustannie uczuciami republikańskimi i potrzebą zasłużenia na szacunek wielkiego ludu, stawały się doskonalsze; by sztuki upiększały wolność, która je uszlachetnia; by handel stał się źródłem dobrobytu powszechnego, a nietylko przyczyniał się do monstrualnego przepychu kilku rodzin.

Pragniemy, by w naszym kraju moralność zastąpiła egoizm; uczciwość — honor; zasady — zwyczaje; obowiązki — konwenanse; królestwo rozumu — tyranię mody; pogarda dla zepsucia — pogardę dla nieszczęścia; duma — pychę; wielkoduszność — próżność; miłość sławy — miłość pieniądza; dobrzy — ludzie — dobre towarzystwo; zasługa — intrygę; geniusz — pięknoduchostwo; prawda — rozgłos; wdzięk szczęścia — nudę rozkoszy; wielkość człowieka — małość możnych; lud wielkoduszny, potężny, szczęśliwy — lud miły, lekkomyślny i biedny; słowem pragniemy zastąpić wszystkie wady i wszystkie głupstwa monarchii wszystkimi cnotami i wszystkimi wspaniałościami republiki.

Pragniemy wypełnić życzenia przyrody, spełnić przeznaczenie ludzkości, dotrzymać obietnicy filozofii, wyzwolić Opatrzność z długiego panowania zbrodni i ucisku. Niech Francja, sławna niegdyś pomiędzy krajami niewoli, przewyższy sławą wszystkie ludy wolne, jakie kiedykolwiek istniały, niech stanie się przykładem dla narodów, postrachem dla ciemiężców, pocieszeniem dla uciśnionych, ozdobą świata! Obyśmy mogli pieczętując nasze dzieło naszą krwią, ujrzeć przynajmniej, jak wschodzi zorza powszechnej szczęśliwości!

Nie żałujemy bynajmniej, iż w zobrazowaniu zasad moralności materialistycznej tak obficie posłużyliśmy się cytatami i tak często odwoływaliśmy się do sformułowań Helwecjusza. Sądzimy bowiem, że jeśliby ogień strawił wszystkie dzieła traktujące o moralności od wieku XVII i gdyby „Etyka" Spinozy oraz traktat „O Rozumie" Helwecjusza zostały z tego pożaru uratowane, wówczas myśl nowoczesna nie utraciłaby nic istotnego. Jeśli znaczenie, jakie przypisujemy książce Helwecjusza wydaje się dziś może paradoksalne, to dlatego, iż od chwili jej wydania (książka ukazała się w Amsterdamie, bez nazwiska wydawcy, ponieważ despotyzm Ludwika XV nie zezwalał na opublikowanie jej w Paryżu) stale była gnębiona i usuwana przez wszystkie tyranie. Wystarczyło, iż dała ona natchnienie Jakobinom i zwolennikom Babeufa, by Cesarstwo wzbroniło jej powtórnego wydania. Powrót ultramontanów nadał potępieniu kościoła siłę prawa. Ani tchórzliwi mieszczanie z czasów Ludwika-Filipa, ani aferzyści Drugiego Cesarstwa nie zatroszczyli się o wydanie tej książki. Nawet Trzecia Republika, zrodzona wśród represji wobec Komuny, dojrzała dzięki „porządkowi moralnemu" i pogrzebana przez „nowy ład" Petaina i Hitlera, nie sprzyjała bynajmniej wskrzeszeniu tych płomiennych myśli. Zmowa milczenia była tak świetnie zorganizowana, zaś reedycje tak rzadkie, że dla dokładniejszych studiów nad Helwecjuszem byliśmy zmuszeni korzystać z wydania holenderskiego Arkstee i Merkus z roku 1761

*) por. „Kuźnica" Nr 32, 33, 34, 35, 36, 37

Dzisiaj, gdy Francja, aby się odrodzić, tworzy inwentarz swoich bogactw przed wkroczeniem na nowe drogi duchowego rozwoju, uważamy za konieczne, by odnaleźć na nowo te wciąż żywe myśli, które jej pozwoliły na wielkie odnowienie, jakim był rok 1789 i na podjęcie zadania w tym samym punkcie w jakim zostało ono przerwane przez naszych wielkich poprzedników. W tej dziedzinie, jak i we wszystkich innych, winniśmy kontynuować tradycje Francji, nie składając przeszłości tylko martwego hołdu dla pamiątek, lecz czerpiąc z niej siły do nowego porywu, szukać wśród popiołów zarzewia, które pozwoli nam rozpalić na nowo płomienie naszej wielkości.

Bilans moralności materialistycznej można by zamknąć w następującej formule: dla nas, materialistów, obowiązek pozostaje rzeczywistością, podobnie jak dla moralności tradycyjnej; nie wyjaśniamy jednak pochodzenia tego obowiązku w ten sam sposób, jak to czyni moralność tradycyjna i obowiązek ów nie nakłada na nas tych samych zadań; moralność pozostaje dla nas zespołem zasad, które kierują działalnością człowieka. Materializm nie jest bynajmniej zaprzeczeniem tych praw postępowania: nadaje im jedynie inną treść i opiera je na innej podstawie.

Materializm opiera te zasady na innej podstawie, gdyż odrzuca wszelki dualizm, wszelką celowość, wszelkie twierdzenia o „wrodzoności" lub też, co znaczy to samo, o „objawieniu" praw moralnych. Materializm opiera moralność na innej podstawie niż na nadprzyrodzonej wierze w sprawiedliwego Boga. Słowem, materializm usuwa „metafizyczne" podstawy moralności. Diderot nazywa metafizyków „gatunkiem ptaków, które tuczą się we mgle". Nie można było tego określić lepiej, a zwłaszcza nie można było uczynić nic lepszego, niż dać przepisom moralnym bardziej solidną podstawę: podstawę naukową. Mgr de Beaumont w swoim „Liście Pasterskim przeciwko książce „O rozumie" nie wybaczył Helwecjuszowi, że ten pozwolił

czytelnikowi dowiedzieć się, iż nadzieja przyjemności lub obawa kary ziemskiej są równie skuteczne dla celów wychowania człowieka, jak kary i uciechy wieczne!

Ostateczne zlaicyzowanie moralności jest właśnie największą zasługą filozofów francuskich XVIII stulecia. Pogląd, iż można być jednocześnie ateuszem i człowiekiem uczciwym jest zdobyczą umysłu francuskiego. Bayle był pierwszym jego twórcą, Helwecjusz wzniósł na nim pierwszy pomnik nowoczesnej nauki i moralności. Diderot w swojej wspaniałej „Modlitwie do Boga, jeśli Bóg istnieje" dał najdoskonalsze sformułowanie tego poglądu:

Rozpocząłem od przyrody, którą oni nazywają twoim dziełem, a zakończę na Tobie, którego imię na ziemi jest Bóg. O Boże, nie wiem czy jesteś, ale będę myślał tak, jak gdybyś mógł widzieć moją duszę i będę działał tak, jak gdybym stał przed Tobą.

Jeśli zgrzeszyłem kilkakrotnie przeciwko mojemu rozumowi lub twojemu prawu, to mniej byłbym zadowolony z mojego przeszłego życia, lecz nie będę mniej spokojny co do mojego przyszłego losu, gdyż ty zapomniałeś o moim błędzie z tą chwilą, gdy ja go za błąd uznałem. O nic nie proszę cię na tym świecie; bowiem bieg rzeczy jest nieodwracalny sam w sobie — jeśli ciebie nie ma, lub też z twojego rozkazu, — jeśli istniejesz.

Spodziewam się twojej nagrody w innym świecie, jeśli taki świat istnieje; choć wszystko to, co czyniłem na tym świecie — czynię dla siebie. Jeśli kieruję się dobrem, to czynię to bez wysiłku; jeśli pozwalam na zło, to nie myśląc o tobie.

Nie mógłbym się powstrzymać od miłości dla prawdy i cnoty, ani od nienawiści do kłamstwa i występku, jeślibym wiedział, że ciebie nie ma, lub jeślibym wierzył że jesteś i że cię to obraża. Oto jestem, jaki jestem, tak właśnie, a nie inaczej zorganizowana cząstka tak, a nie inaczej zbudowanej materii lub też, być może, stworzony przez ciebie. Jeśli jednak jestem dobry i czynię dobro, to dla moich bliźnich nie ma żadnego znaczenia, czy czynię to wskutek przypadku, czy wskutek aktu wolnej woli, czy też wskutek udziału twej łaski.

Za każdym razem, gdy będziesz powtarzał ten symbol naszej filozofii, odczytasz również i to, co po nim następuje: „Bóg pozwolił, lub też mechanizm zwany przeznaczeniem zechciał, byśmy w ciągu całego naszego życia byli wystawieni na różnego rodzaju przygody: jeśli jesteś człowiekiem rozsądnym i lepszym ojcem niż ja, wówczas wytłumaczysz zawczasu swojemu synowi, że jest on panem swojego istnienia; uczynisz to poto, by twój syn nie skarżył się na ciebie, który mu to istnienie dałeś".

Rozum jest wielkim i jedynym rozkazodawcą moralności. Tradycja racjonalistyczna Encyklopedystów francuskich nie uświęca ani nie poniża żadnej ze zdolności ludzkich: ani ludzkich namiętności, ani ludzkiego rozumu. Humanizm człowieka pozostaje w równowadze i w całości. Namiętności bez rozumu są okrętem bez sternika. Rozum bez namiętności jest królem bez poddanych. Materialiści francuscy po osiemnastu wiekach chrześcijańskiej nieufności wobec rozumu i lękliwego odrzucania namiętności, odkrywają mądrość, która nie prowadzi ani do anarchii namiętności ani też do ascetyzmu rozumu. Mądrość ta jest zgodna z głębokimi potrzebami naszej natury, która spontanicznie dąży ku radości:

Cóż nam mówi ten głos natury? — pisze Diderot. Abyśmy się stali szczęśliwymi. Czy można, czy powinno się stawiać mu opór? Nie, najbardziej cnotliwy i najbardziej zepsuty człowiek jednakowo ulega temu głosowi. Prawda, iż głos ten do każdego z nich przemawia w innym języku; lecz jeśliby wszyscy ludzie byli oświeceni, przemawiałby wówczas do nich wszystkich w języku cnoty (Diderot: „Wstęp do wielkich zasad").

Drugą zdobyczą materializmu jest to, iż daje on prawom moralnym treść, która zmienia się zgodnie z epoką; materializm nie wierzy w przepisy wieczne. Helwecjusz ma głęboki zmysł przyszłości społecznej:

Cesarstwo, pisze Helwecjusz, jest podobne do okrętu, prowadzonego przez pewne wiatry do określonych szerokości — gdzie kierowany skolei przez inne wiatry okręt jest narażony na niebezpieczeństwo zguby jeśli, poto by zapobiec rozbiciu, dobry i ostrożny sternik nie zmieni całkowicie kierunku: jest to prawda polityczna, znana Panu Locke, który z chwilą, gdy jego ustawy wprowadzono w Karolinie, oświadczył, iż pragnie, by nie działały one dłużej niż jeden wiek; po upływie tego okresu stracą one swoją wartość, jeśli nie zostaną zbadane na nowo i potwierdzone przez naród.

Diderot dostrzegał nawet zasadniczy motor historii: walkę człowieka z przyrodą, walkę — która jest podstawą organizacji społeczeństw.

Jeśli człowiek już w kolebce spotyka wroga i to w dodatku wroga groźnego, jeśli ten wróg jest niezmęczony, jeśli prześladuje go nieustannie, jeśli człowiek nie może sobie zapewnić nad nim przewagi w sposób inny niż przez zjednoczenie sił, wówczas od wczesnego wieku winien być skłonny do takiego właśnie zjednoczenia sił. Tym wrogiem jest przyroda, a walka z przyrodą jest pierwszą podstawą organizacji społecznej. Przyroda atakuje tę organizację przy pomocy potrzeb, jakie jej dała i przy pomocy niebezpieczeństw na jakie ją wystawiła; człowiek musi zwalczać surowość pór roku, biedy, choroby i zwierzęta; wszystko co stara się oddzielić człowieka od człowieka dąży również do osłabienia siły z jaką człowiek walczy przeciwko przyrodzie i do upodobnienia jego bytu do prymitywnych warunków istnienia człowieka dzikiego.

Społeczeństwo o tyle jest lepiej zorganizowane, o ile umożliwia bardziej pewne i bardziej całkowite zwycięstwo nad przyrodą. Walka klas, która dzieli siły ludzkie, opóźnia to zwycięstwo i stwarza pole do prowizorycznych, tymczasowych odwrotów, które tworzą okresy upadku. Jedynie społeczeństwo bezklasowe zapewni człowiekowi ostateczne zwycięstwo i wszechwładzę nad siłami przyrody. Ale tego osiemnastowieczni materialiści jeszcze nie odkryli; najwyżej mogli snuć tę myśl w pięknych utopiach. Dopiero wiek XIX wprowadzi do materializmu dialektykę, odkryje rytm nieuniknionej ewolucji i nieuniknionych rewolucji, dostrzeże w prawie sprzeczności motor przyrody, zaś w walce klas — motor historii.

B. Postęp dialektyczny

W „Tezach o Feurbachu", na trzech krótkich stronicach, napisanych w roku 1845, a stanowiących metrykę narodzin materializmu dialektycznego, Marx po raz pierwszy przedstawia swoją dialektyczną krytykę dawnego materializmu:

Zasadniczą wadą całego dotychczasowego materializmu, mówi Marx, jest to, iż przedmiot, rzeczywistość, świat zmysłowy były przezeń ujmowane jedynie w formie przedmiotu lub postrzeżenia, nie zaś jako konkretna, ludzka działalność, jako praktyka; nie były one ujmowane w sposób niesubiektywny. To też wyjaśnia, dlaczego idealizm w przeciwieństwie do materializmu, rozwija stronę czynną, lecz tylko w sposób abstrakcyjny; idealizm bowiem nie zna rzeczywistej, konkretnej działalności jako takiej. (Pierwsza teza).

Marks ilustruje tę krytykę następującym przykładem:

Doktryna materialistyczna według której ludzie są produktem warunków i wychowania, zaś ludzie przekształceni są produktem innych warunków i przekształconego wychowania, zapomina, iż tymi, którzy przekształcają warunki są właśnie ludzie i że wychowawca sam musi zostać wychowany... Zbieżność przemiany warunków i działalności ludzkiej może być ujęta i zrozumiana racjonalnie jedynie jako praktyka rewolucyjna.

(Trzecia teza)

Marx wykracza w ten sposób poza zakres widzenia dawnego materializmu i wzbogaca go tym wszystkim, co idealizm oczyszczony ze swoich mistyfikacji mógł dać żywotnego.

Na to przekroczenie granic materializmu mechanistycznego pozwoliła ewolucja nauk w pierwszej połowie XIX stulecia. Laplace, który nadał koncepcji mechanistycznej formę najbardziej krańcową, doszedł do twierdzenia, iż jeślibyśmy znali całkowicie aktualną sytuację świata, bylibyśmy wówczas w stanie przewidzieć cały przyszły bieg historii. Ta wąska i abstrakcyjna koncepcja deterministyczna, choć w pewnym okresie była płonną hipotezą techniczną, prowadziła do fatalizmu: przyszłość była całkowicie zdeterminowana przez teraźniejszość, teraźniejszość zaś — przez przeszłość. Ta wiedza, wynikła z potrzeb działania, a osiągająca w rezultacie całkowite zaprzeczenie możliwości działania, stanowi dziwny paradoks! Postęp we wszystkich dziedzinach wiedzy w wieku XIX i XX pozwolił na nadanie większej elastyczności pojęciom determinizmu i na dokładne rozróżnienie pomiędzy nimi a pojęciem koncepcji mechanistycznej, takim, jak go określiła wiedza i filozofia XVIII wieku. W ten sposób narzucała się żywa koncepcja rozumu: filozoficzne wyobrażenie o świecie przekształciło się tak, iż działalność ludzka teoretycznie stała się znowu możliwa, praktycznie zaś — dominująca.

Marx i Engels pierwsi uświadomili sobie ten nowy kierunek nauk; on to właśnie stanowi punkt wyjścia ich materializmu dialektycznego:

Filozofowie w najrozmaitszy sposób objaśniali świat; rzecz jednak polega na tym, by świat zmienić.

(Teza jedenasta)

Pierwszym punktem, który musimy wydzielić i ukazać, jeśli chcemy zrozumieć oryginalność materializmu dialektycznego i nowy sens jego koncepcji człowieka oraz moralności, mówi o tym, iż świadomość i myśl nie są dla nas zwykłymi, pozbawionymi rzeczywistości odbiciami zjawisk materialnych; świadomość i myśl są aktami; aktami rzeczywistymi i działającymi, które odgrywają swoją rolę w historycznym rozwoju świata. Na ten temat, w ciągu swej działalności, Marx i Engels wypowiadają się z całą stanowczością: w przeszło pięćdziesiąt lat po ukazaniu się „Tez o Feuerbachu" Engels stwierdza w jednym ze swoich listów z dnia 25 stycznia 1894 r.:

Nieprawdą jest, iż sytuacja ekonomiczna jest jedyną przyczyną działającą, zaś wszystko inne — biernym jej wynikiem.

W liście do innego swojego korespondenta (do Józefa Blocha) z dnia 21 września 1890 roku, czytamy:

Jeśli tezę naszą wynaturzy się, mówiąc, iż ruch ekonomiczny jest jedyną determinantą, wówczas przekształca się nasze twierdzenie w pozbawiony sensu, abstrakcyjny, absurdalny frazes.

Gdy głupi uczniowie lub przeciwnicy o złej woli powtarzają przeciwko materializmowi dialektycznemu dawne oskarżenie mechanistów, gdy utrzymują, iż marksizm uważa myśl za „wydzielinę mózgu", a

„nadbudowy ideologiczne" za przejściowe odbicie stosunków ekonomicznych, wówczaś Engels przypomina raz jeszcze :

To czego brak tym panom, to dialektyka. Zawsze widzą po jednej stronie przyczynę — a po drugiej skutek. Tego zaś, że jest to pusta abstrakcja, że w świecie rzeczywistym podobne biegunowe i metafizyczne antagonizmy istnieją jedynie w okresie kryzysów, zaś cały wielki bieg rzeczy tworzy się w formie akcji i reakcji sił, bezwątpienia wielce nierównych — w których ruch ekonomiczny jest siłą o wiele bardziej potężną, bardziej podstawową, bardziej decydującą — że niema tu nic absolutnego, że wszystko jest relatywne, tego właśnie, niestety, oni nie widzą; dla nich Hegel nie istniał... (List do Konrada Schmidta, 2 października 1890).

Jeśli ci, którzy położyli podwaliny materializmu dialektycznego, nie zawsze mieli okazję, by podkreślać ten właśnie aspekt zagadnienia, to działo się to ze względów polemicznych, jak to wyjaśnia nam Engels :

Marx i częściowo ja sam, winniśmy ponosić odpowiedzialność za to, iż młodzi często przywiązują więcej wagi niżby to należało do strony ekonomicznej. W obliczu naszych przeciwników musieliśmy podkreślać zasadę najważniejszą, której oni zaprzeczali, dlatego też nie znaleźliśmy dość czasu, miejsca i okazji, by oddać sprawiedliwość innym czynnikom, które mają swój udział we wzajemnym działaniu.

(List do Józefa Blocha, 21 września 1890 roku).

Błąd perspektywy łatwy jest do naprawienia w całości metody marksistowskiej: cała praca organizacji robotniczych i propagandy, cały, często heroiczny, wysiłek milionów bojowników byłby absurdalny, jeśliby materializm dialektyczny nie nadawał decydującego znaczenia organizacyjnej i motorycznej władzy idei.

Fakt, iż ideologiczny punkt widzenia oddziaływuje skolei na bazę ekonomiczną i może ją przekształcać, wydaje mi się całkowicie oczywisty.

(List do Konrada Schmidta, 27 października 1890).

Po ustanowieniu tej zasadniczej różnicy pomiędzy materializmem dialektycznym i materializmem mechanicznym, stanowisko marksistowskie wobec głównych zagadnień moralnych staje się niezwykle łatwe do określenia.

Oblicze człowicka — komunisty, jego sposób podejścia do życia, jego styl moralny, mogą być określone na podstawie stanowiska, jakie ten człowiek zajmuje wobec wielkich, tradycyjnych sprzeczności życia moralnego, istniejących pomiędzy :

ideałem i rzeczywistością;
wolnością i determinizmem:
jednostką i społeczeństwem.

c.d.n.

Roger Garaudy

K. W. ZAWODZIŃSKI

Istota polskiego wiersza „czysto-tonicznego"

POTRZEBA głębokiej rewizji, której należy dokonać w zakresie pojęcia wiersza czysto tonicznego, akcentowego ,aż być może, włącznie do nazwy samej tej grupy wierszy, unaoczniła mi się szczególnie podczas uniwersyteckiego nauczania podstaw metryki. Sprowadzanie istoty „3-akcentowca" do trzech akcentów możliwe jest dopiero przez naciąganie go do zadanego sobie zgóry schematu, bądź z pomijaniem rzeczywistych akcentów wyrazowych, bądź z dowolnem podkreślaniem akcentu pobocznego w wyrazie, gdy nie możemy się doliczyć trzeciego akcentu recytacyjnego. Z drugiej strony, ta operacja, wbrew oczywistości, a czasem i bez potrzeby naszego poczucia metrycznego dokonana pozwala wyróżnić tylko nieliczne kategorie metryczne w obrębie całego systematu wersyfikacyjnego. Naprawdę sprowadzałyby się one t. j. odmiany naszego wiersza „czysto-tonicznego" do wyżej wymienionego 3-akcentowca lub jego podwojenia (nowoczesnego 6-miarowca polskiego), wobec praktycznej rzadkości 4-akcentowca o wyraźnie zarysowanym szkielecie tonicznym, i wobec możności, przy raz przyjętych dowolnościach interpretowania metrycznego, sprowadzenia prawie zawsze dwuakcentowca do trzech akcentów recytacyjnych, a tem bardziej 5-akcentowca (którego rzekomy przykład podaje w swej książce St. Furmanik) do pospolitego i automatycznie przymyślanego do każdego dłuższego wiersza heterosylabicznego — wzoru 6-akcentowca.

Tak więc praktycznie cały system sylabiczno-toniczny sprowadzałby się do jednego metrum i jego podwojenia, co w zupełności uzasadniałoby zaznaczone w moim Zarysie wersyfikacji (cz. I str. 86) niebezpieczeństwo monotonii; w poglądzie tym nie jestem odosobniony gdyż i Furmanik, pisząc całkowicie poza zasięgiem mych wpływów, podnosi (w wypadku wierszy „przeładowanych" akcentami) niewłaściwość nazywania ich „tonicznemi", i proponuje ze swej strony: „ze względu na rolę frazy intonacyjnej należałoby je nazwać wierszami uwarunkowanemi metrycznym układem frazy intonacyjnej". Ale z właściwą sobie niechęcią do jasnego i zdecydowanego wykładu swych zasad, już w końcu tego samego ustępu przygotowuje sobie odwrót „na poprzednio zajęte pozycje", uzasadniając go w sposób daleki od przejrzystości. Wątpliwe jest zresztą, czyby przyjęcie jego poprawki terminologicznej, a nawet całego ujęcia zagadnienia, zmieniło coś na lepsze w zakresie precyzyjności narzędzi analizy tego rodzaju struktur mowy wiązanej. Prawdopodobnie nie przyniosłaby również korzyści zmiana nazwy wierszy „czysto-tonicznych" na wiersze „czasteczkowane", której to nazwy („dolniki") używają równolegle do nazwy wierszy czystotonicznych nasi wschodni sąsiedzi, posiadający nieco obszerniejsze i dawniejsze doświadczenia w tej dziedzinie.

Kapitalną bowiem wadą tego sposobu rozpatrywania omawianej grupy zjawisk w dziedzinie wersyfikacji jest teoretyczna niemożliwość bardziej subtelnego ich zróżniczkowania. Wypada mi to samemu przyznać, gdyż z jednej strony sam byłem pierwszy (jeśli nim nie był Leonard Podhórski-Okołow, lub może sam Andrzej Tretiak, który mi dał pierwszą inicjację w istotę tego systematu na wzorach angielskich), który wprowadził tę nazwę na grunt polski; z drugiej strony, stojąc na gruncie łatwego i logicznie biorąc nienagannego sposobu rozróżniania trzech wielkich systematów wersyfikacyjnych, czysto-sylabicznego, sylabo-tonicznego i czysto-tonicznego, uważałem jako logiczną konsekwencję definicji tego ostatniego przechodzenie ponad różnicami ilościowemi sylab, rozdzielających akcenty recytacyjne, i z tego stanowiska opponowałem przeciw próbom wydzielenia w osobną kategorię podziału rozmaitych wariacji 3-akcentowca na kategorie, jedną bardziej pokrewną 8- zgł. trójakcentowemu i drugą bardziej pokrewną trypodii anapestycznej (która we wzory sylabiczne ujęta wywodziła się z 10-zgł. typu 4—6), gdy takie rozróżnienie robił Siedlecki, rozróżnienie istotnie nie dające się obronić ze stanowiska definicji wiersza akcentowego i wobec fanatycznie stosowanej matematycznie — prawidłowej klasyfikacji. Dziś widzę, że Siedlecki miał tu rację, choć nie umiał jej, jak w wielu innych wypadkach wyłożyć w sposób jasny, wypowiadając wiele rzeczy słusznych swym zawiłym metaforyczno-poetyczno-uczonym językiem. Zresztą do pewnego stopnia i ja też miałem rację na innym odcinku tej samej dyskusji, nie chcąc się pogodzić z podciąganiem pod schematy wiersza czysto-tonicznego tych licznych przykładów naruszenia izosylabizmu w dawniejszej poezji polskiej, szczególnie romantycznej, których wykrycie i próba systematyzacji są zasługą Fr. Siedleckiego. Dla mnie były to (tak czy inaczej uzasadniane pod względem zaistnienia przyczyny) wariacje 8-zgł. lub jeszcze częściej, a w każdym razie z wyraźniejszem prawem obywatelstwa w poezji polskiej wariacje 10-zgł. (4+6). Do tego stanowiska pod warunkiem jego uogólnienia zmierzam w niniejszej rewizji terminologii, uświęconej dwudziestoletnim conajmniej użyciem w systematyce wiersza polskiego.

Momentem, który zadecydował o zmianie mego stanowiska, było poznanie świeżej książki poetyckiej pt. „Jesień niezapomniana". Jej autorka, Hanna Mortkowicz-Olczakowa, debiutowała w epoce Skamandra książkami, które odrazu dość wysoko ją zakwalifikowały w rzędzie ówczesnych młodych poetów, określając jednocześnie jej bliższą przynależność do tego klasycyzującego nieco nurtu ówczesnej poezji, który pod egidą Kazimierza Wierzyńskiego kontynuował linię „wielkiego rodzica" Leopolda Staffa. Nie znaczy to, żeby jej (jak i jej towarzyszy) stosunek do zdobyczy nowatorskich swego czasu był bezwzględnie negatywny. Owszem, ze szczęśliwym umiarem charakteryzującym jej naturę twórczą, zarówno gdy posługiwała się piórem, jak i gdy brała do ręki pendzel lub ołówek (prócz książeczek przez siebie ilustrowanych, dała się poznać pięknemi kompozycjami olejnemi na wystawach warszawskich), potrafiła wcielić pomiędzy środki swego wyrazu artystycznego wszystko to, co istotnie rozszerzało możliwości artysty, nie naruszając bogactw przekazanych przez tradycję, której snucie otwiera najpewniejsze perspektywy rozwoju kultury i literatury ojczystej.

Pomimo szczęśliwego debiutu w poezji lirycznej, życzliwie spotkanego przez krytykę, podobnie jak i następny tom wierszy, nie upierała się przy wyłącznym uprawianiu tego rodzaju: z właściwą jej inteligencją rozumiała jak niebezpieczne jest pomnażanie, nawet udatnych, dowodów swego daru wyłącznie lirycznego, i jak gorzką przyszłość gotuje sobie pisarz pragnący wyłącznie na swych utworach lirycznych oprzeć swe stanowisko w literaturze: jeśli kto nie jest pewien zajęcia miejsca między kilkoma (czterema, pięciu, czasem mniej, z rzadką więcej, zależnie od epoki i stanowiska liryki w literaturze danego kraju w danym momencie) nazwiskami czołowych poetów epoki, skazuje się z góry na zapomnienie. Poświęcała się więc prozie narracyjnej a ulubionym jej rodzajem były reportaże z podróży, pisane piękną godną poetyckiego pióra prozą, i jakby kontynuujące poematy geograficzne Żeromskiego, którego wpływ w tym miejscu jest jeszcze jednym dowodem nieprzerwanego oddziaływania ostatniego wajdeloty na literaturę dwudziestolecia, pomimo bardzo krytycznego niekiedy w literaturze stosunku do niego w płaszczyźnie rozumowej.

Po wojnie H. Mortkowicz-Olczakowa wróciła do poezji wydając dwie książki, bardzo jednak odmienne w swej istocie od typu liryki osobistej. Jedną jest powieść wierszem dla dzieci o czasach wojny i okupacji, bardzo odbiegająca od wątpliwej pedagogicznie i z wyższego, ogólnoludzkiego stanowiska błaznującej literatury dla dzieci. Książką tą, godną pod wielu względami uwagi, zajmuję się obszerniej gdzieindziej. Druga książka również na tętniące żywą krwią aktualności wojennej tematy (pisana w roku 1942: o czymże innym można było szczerze i z głębokim przejęciem wówczas myśleć?) jest cyklem 66 dość krótkich utworów lirycznych, oddających wrażenia i przeżycia „wojny wrześniowej" przebytej w Warszawie, z jej cierpieniami i końcowym uświadomieniem sobie decydującej klęski. „Jesień niezapomniana" jest dziełem wielkiego i zupełnie dojrzałego talentu, korzystającego (podobnie jak omówiona przed chwilą powieść wierszem) z najwyższą oszczędnością z dobranych starannie, wypróbowanych środków artystycznych, o niezawodnej sile działania, także w dziedzinie formy zewnętrznej. O nią to mianowicie, o wersyfikację książki, będzie mi specjalnie chodziło w poniższych rozważaniach. A jeżeli podniosłem ogólne zalety książki i autorki to dlatego, żeby ukazać nieprzypadkową, reprezentacyjną, odpowiadającą „poczuciu metrycznemu" publiczności literackiej właściwość użytego tu rodzaju wersyfikacji.

Sprowadza się ona do niewielu, powszechnie znanych, ale charakterystycznych odmian. Wspólną cechą tych wszystkich nie wielkich przeważnie rozmiarami, najwyżej sześćdziesięcioparowierszowych, utworów jest ich forma zwrotkowa, a mianowicie: zawsze czterowiersze i zawsze połowa zakończeń rymem męskim, który przypada bądź na parzyste bądź nieparzyste miejsca w zwrotce, zależnie od dość kapryśnego stosowania porządku rymów, to „przekładanych", to „obejmujących", czasem zaczynających, czasem kończących czterowiersz kadencją oksytoniczną. Mamy więc w każdej zwrotce współistnienie znanych metryce polskiej wierszy, zarówno w ich formie „akatalektycznej", jak i katalektycznej (rozumiejąc dla prostoty, w wersyfikacji" polskiej, zgodnie z moją dawniejszą propozycją, jako katalektycznej, wiersz ucięty o jedną sylabę nieakcentowaną w zakończeniu, w porównaniu do zwykłej swojej formy o zakończeniu paroksytonicznym): zaznaczam to, żeby już później do tego szczegółu strony metrycznej książki nie wracać.

Podstawowe zaś rodzaje wiersza użytego w książce są następujące: (1) 8-zgłoskowiec trójakcentotwy (ze ścisłym wyłączeniem trocheicznego)*); (2) konkurujący z nim pod względem liczebności 10-zgłoskowiec formy 4+6, oczywiście w tej postaci, jaką przybrał po wkroczeniu do wersyfikacji polskiej akcentu w roli metrotwórczej, tj. z utrwaleniem akcentu w rymie (na dziewiątej w swym klasycznym i zosylabicznym kształcie) i na trzeciej zgłosce, a z pominięciem obowiązku przedziału międzywyrazowego po czwartej; (3) 10-zgłoskowiec formy 5+5 z utrwaleniem akcentów analogicznie do poprzedniego na dziewiątej i na czwartej, ale z uderzająco większą trwałością przedziału międzywyrazowego po piątej; wreszcie, najliczniej tu reprezentowany, (4), choć nie wiem, czy posiada on równorzędną z tamtymi samodzielność istnienia, dłuższy wiersz — „quasi-heksametr" polski czy „6-akcentowiec", stanowiący w zasadzie podwojenie wiersza wymienionego tu pod punktem (1).

Z tych wierszy 10-zgł. formy 5+5 zachowuje swój kształt izosylabiczny natomiast 8-zgł. trójakcentowy bardzo często występuje w formie lipometrycznej, zrzadka hipermetrycznej czyli, że utwory pisane tym wierszem przedstawiają mieszaninę wierszy 8 i 7-zgł. (wyjątkowo — 9-zgł.), typową dla najpopularniejszego i najdawniejszego z metrów czystotonicznych trójakcentowca. Jednocześnie w wierszach pisanych 10-zgł. formy 4+6, dość często, zjawiają się lipometrie, rzadziej hipermetrie, również nieprzekraczające rozmiarami wytrącenia lub dorzucenia jednej zgłoski: w ten sposób utwory pisane tym rodzajem wiersza stanowią mieszaninę 10, 9 i 11-zgł., tak samo, jak wiersze punktem (1) ujęte, z punktu widzenia definicji wiersza czysto-tonicznego mających prawo do nazwy trójakcentowców (mimo że druga w zasadzie sześciozgłoskowa część zasadniczego wiersza niekoniecznie składa się z dwóch zestrojów akcentowych po trzy zgłoski, tj. niekoniecznie nawiązuje do macierzystego typu trypodii anapestycznej, która, jak się zdaje, nie jest odróżniona w świadomości metrycznej autorki, podobnie jak w świadomości metrycznej jej szeregowego czytelnika od pentapodii trocheicznej). A jednak wskutek niewielkich wychyleń poza granice izosylabizmu, oraz dzięki zachowaniu przez wiersze wywodzące się od 10-zgł. stałego akcentu na trzeciej (naruszenia izosylabizmu trafiają się tylko w drugim półwierszu), z całą łatwością i pewnością rozróżniamy, jako odrębne struktury metryczne, te dwa typy trójakcentowca. Takim sposobem pokazuje się praktycznie i sprawdza się wielokrotnym doświadczeniem słuszność stanowiska Siedleckiego — wbrew mojej opozycji, nie znajdującego logicznych podstaw do wprowadzenia rozróżnienia między tymi dwoma, identycznymi z punktu widzenia definicji wiersza czysto tonicznego, metrami. Istotnie, nie popełniałem błędu logicznego: rozumowanie moje było słuszne — niesłuszną była tylko jego podstawa: ujmowanie tych wierszy jako czysto-tonicznych, akcentowych.

Przyjmując, że te wiersze są pochodnymi formami pewnych ustalonych typów wersyfikacji sylabo-tonicznej (polskiej, w moim szerokim znaczeniu), możemy: 1) bez trudu, już na pierwszy rzut oka, przeprowadzić ich klasyfikację bardziej szczegółową niż przy pomocy ujmowania ich jako wierszy czystotonicznych; 2) zwalniając się przy tym od niepotrzebnej troski o trzy akcenty „recytacyjne", właściwość, z nowozajętego stanowiska, jak się okazuje, nieistotną. Ale to dopiero pierwszy etap konsekwencji podjętej rewizji. Kontynuując ją, można przede wszystkim przystąpić do jeszcze bardziej subtelnego zróżnicowania metrów. Istotnie, pod względem zachowania izosylabizmu wiersze omawianej książki, oznaczone poprzednio w punkcie (2), dadzą się uszeregować w następujące kolejne kategorie: (a) utwory zachowujące ścisły izosylabizm, (b) utwory z bardzo nielicznymi odchyleniami poza izosylabizm, (c) utwory o znacznej ilości lipometrii, (d) utwory, w których zaczynają przeważać

*) Jedyny wyjątek (w utw. XI) „Wielkie armie idą, spieszą" należy chyba czytać z trójzgłoskowym „armi-je" (proparaksytonicznym. Ten kolon wchodzi zresztą, co nie zmienia zupełnie , jak zobaczymy, pełnej jego siły egzemplifikacyjnej, w kontekście wierszy tu objętych p. (2).

800-lecie Moskwy **Gmach opery i baletu**

wybitnie wiersze 9-zgł. formy 4+5, (e) utwory pisane prawie wyłącznie wierszem 9-zgł. wspomnianego przed chwilą typu i wreszcie (f) utwory zachowujące ścisłą równozgłoskowość typu 9 (4+5). Tak więc w płaszczyźnie synchronicznej ukazuje się pokrewieństwo dwóch metrów, któregośmy się mogli domyśleć i w przeglądzie diachronicznym wersyfikacji polskiej: bardzo niepospolity w wersyfikacji sylabicznej wiersz 9 (4+5) zniknie początkowo chyba prawie zupełnie w fali wdzierającego się sylabo-tonizmu. Dopiero u Norwida przychodzi do głosu w ramach jego jakby archaistycznych nawrotów do czystego sylabizmu (który jednak czystym być już nie mógł w zmienionym całokształcie wersyfikacyjnym), wchodząc jako swoisty i mocno swoiście dysonansowy element między inne wiersze 9-zgł. (więc typu 5+4, o toku jambicznym); w miarę zaś rozluźniania się w późniejszej twórczości Norwida równozgłoskowości — wchodzi on w heterosylabiczne szeregi kolonów, których podstawowym wzorem jest schemat 4+6 (lub 6+4). O retrospektywnych jednak konsekwencjach niniejszej naszej rewizji — za chwilę. Narazie wróćmy do naszej poetki. W jej książce można więc wyróżnić w obrębie p. (2) utwory stanowiące jednolite regularne zastosowanie jednego z dwu objętych punktem metrów, tj. 10-zgł. i 9-zgł., utwory stanowiące metroidy obu wyżej wymienionych metrów, wreszcie utwory pośrednie z przewagą oddziaływania jako wzoru, to jednego, to drugiego metrum, które stwierdzają ich pokrewieństwo i konieczność rozpatrywania ich w ramach jednej większej kategorii. Można to zilustrować przykładami: na ściśle izosylabiczny 10-zgł. (4+6) — XVI, 1-a strofa ,i tak samo do końca.

Od kurzawy dymi rojny trakt,
Płyną auta niby kry po rzece.
Porzucony leży w kartotece
Szyfr, poufny, tajemniczy akt.

na ściśle izosylabiczny 9-zgł. (4+5) — XLVI, 1-a strofa, i tak samo do końca

W dzień kurzawa przesłania słońce,
W nocy łuna tłumi skry gwiazd.
Oni bomby gaszą palące,
Ponad miastem, najkrwawszym z miast.

Pomiędzy tymi skrajnymi kategoriami, w obrębie metrum objętego w niniejszym naszym wyliczeniu punktem (2), mieszczą się wszystkie powyżej wyliczone odmianki, na które można znaleźć w książce przykłady: oto np. dla odmiany (2), opartej o podstawowe metrum 9-zgł. (4+5), z bardzo nielicznymi odstępstwami od izosylabizmu — XI, przedostatnia strofa, poprzednie izosylabiczne:

Bije w niebo radosny krzyk,
Milion serc nadzieją się pali,
A tymczasem lecą z oddali
Samoloty zwarte w groźny szyk.

Jak to się wyraźnie różni — wszystkie te odmiany jednego metrum (czy dwóch, pokrewnych), od trójakcentowca klasycznego, uświęconego tradycją od Księgi Ubogich — w niniejszej książce strofy np. takie jak te dwie z XXXIX:

Grzmot długi, głuchy, zduszony...
Gdzieś blisko, trafił ten cios.
Uciichnął w słuchawce głos.
Zamilkły telefony.

I znowu nagle, gwałtownie:
Raz, raz i jeszcze raz!
Trafiono w elektrownię.
Blask światła w żarówkach zgasł.

Czy można i w granicach tej kategorii próbować dalszego rozróżnienia na utwory wywodzące się z 8-zgł., a inne — z 7-zgł.? Chyba nie, przynajmniej na materiale dostarczonym przez książkę, gdyż nie mamy w niej przykładu izosylabicznego użycia 7- lub 8-zgł. Każdy wiersz składa się z mieszaniny (w różnych proporcjach) jednych i drugich, przy czem 7-zgł. są wszelkich możliwych odmian, a z pomiędzy 8-zgł. stanowczo są wyeliminowane 8-zgł. trocheiczne (można dodać, wbrew praktyce np. Słowackiego w jego utworach, wykraczających poza izosylabizm, co wskazuje na odmienną zasadę derywacji metroidalnej u niego w porównaniu ze współczesną i potwierdza moją opozycję przeciw dopatrywaniu się w Juliuszu ojca wersyfikacji akcentowej). Wiersze 9-zgł. zawsze w typie amfibrachicznym (gdyż i 9-zgł. o toku jambicznym wyłączony, a 9-zgł. typu 4+5 wskazywałby na metrum p. (2) i rzeczywiście nigdy się w omawianem teraz metrum nie trafia) zjawiają się choć rzadko, a może ich obecność mogłaby wskazywać na 8-zgł., jako macierzyste metrum danego utworu, przy tendencji autorki do nieprzekraczania jednozgłoskowych odchyleń od izosylabizmu w jedną i w drugą stronę. Wychodząc z tego założenia i biorąc pod uwagę brak utworów pisanych metrum p. (1) w których znalazłyby się 6-zgł. żeńskie, musimy twierdzić, że nie ma podstawy do dalszej dyfferencjacji tego metrum ze stanowiska, które jesteśmy w trakcie zajmowania, tak jak nie było z poprzedniego: utwory te są pisane metroidami jednego i tego samego metrum, którem jest 8-zgł. trójakcentowy zajmujący ilością zgłosek środkową pozycję pomiędzy wierszami, wchodzącemi jako jego współrzędne do tych utworów; tylko co do niektórych z nich można zauważyć, że przeważają w nich wiersze lipometryczne. W związku zaś ze stale amfibrachiczną postacią 9-zgł. nie jest wyłączone, że trzeba będzie wrócić do pierwotnego przypuszczenia Siedleckiego, od którego on następnie pod moim wpływem odstąpił, iż macierzystym metrum dla wiersza Kasprowicza w „Księdze Ubogich", tego tak popularnego następnie w poezji dwudziestolecia „czystotonicznego trójakcentowca" jest trypodia amfibrachiczna; z niej tedy w drodze wytrącenia nieakcentowanej sylaby to z jednej to z drugiej stopy, często z dwóch naraz, a więc w zasadzie, na drodze dziś wskazywanej na nowo metroidyzacji — powstałoby to popularne metrum.

Co do wiersza objętego w naszem wyliczeniu punktem (4) można do niego zastosować mutatis mutandis przed chwilą wypowiedziane uwagi. Długość wierszy, wchodzących w struktury zbudowane na podstawie tego metrum, waha się od 14 do 16 zgłosek (faktycznie od 13, ale omówiwszy kataleksję postanowiliśmy nie wracać do odmian w jej wyniku powstających); przewaga jednego albo drugiego (pod względem ilości sylab) rodzaju wiersza sprawia nieraz wrażenie, iż utwór jest pisany wierszem izosylabicznym np. 14-zgł. (7+7); wrażenie to jest mylne, izosylabizm nie należy do założeń metrycznych autorki; może to być jednak wskazówką, że i tu należałoby szukać osobno metroidów 14 zgł. i osobno — 16 zgł. Wątpliwości co do samodzielnego odrębnego istnienia tego metrum podtrzymuje silny przedział między jego dwiema połówkami, podkreślany najczęściej przedziałem syntaktycznym, graficznie znakiem pisarskim. Ale nawet w wypadku sprzeczności między znakiem przestankowym a podpowiadanym przez impuls metryczny przedziałem, ten ostatni zwycięża: przeczytanie wiersza „Żyje po stokroć żyje ten, co za wolność umiera z przestankiem recytacyjnym po „ten", odpowiednio do umieszczania przecinka, narusza metrum, mimo że drugi półwiersz „co za wolność umiera" jest możliwy w kontekście: niemożliwa jednak jest kadencja oksytoniczna pierwszego półwiersza „żyje ten", a więc „ten" należy integralnie do drugiego półwiersza. Ta wyraźna autonomiczność dwóch półwierszy, prawie zupełna niemożliwość przerzutu (enjambement) w niniejszym wypadku zagładzonego recytacją, jest z jednej strony charakterystyczną właściwością systemu wierszy t. zw. „czysto-tonicznych", dość dawno przeze mnie zauważoną i entuzjastycznie potwierdzoną przez Siedleckiego; z drugiej strony świadczy ona o tem, iż zrost komponentów metrycznych tego wiersza nie urzeczywistnił się w tym stopniu, jak np. w tradycyjnym 13-zgł. (jeśli będziemy go uważali za zrost 7- i 6-zgł.); tak więc mamy prawo uważać wiersz ten za podwojenie klasycznego trójakcentowca, ujętego w niniejszych naszych rozważaniach w wyliczeniu metrów książki pod (1).

Co do metrum pod (3) daje się zauważyć na tle tego towarzystwa jego oporny izosylabizm: na sto kilkadziesiąt użytych tu w siedmiu utworach wierszy 10-zgł. formy (5+5) (liczę, ma się rozumieć, z katalektycznemi) znajdujemy jedną lipometrię w utworze LIV: „Jak na cmentarz, jak za pogrzebem", ale i to odnajdujemy w „erratce" jako błąd druku, zamiast poprawnego: „Jak na cmentarzu, jak za pogrzebem". Jeśliby jednak tu błędu nie było, jeśliby istotnie był to wyjątek (istotnie, „potwierdzający prawidło"), ostatecznie dałby się strawić na tle książki, której ogromna większość wierszy rządzi się heterosylabizmem, czytelnikowi, który się tak zezwyczaił z wierszem 9-zgł. (4+5); ale ogólne traktowanie tego metrum świadczyłoby zawsze o stałości w poczuciu poetki, jego trwałego izosylabizmu, a nawet jego „czysto-sylabicznej" dwudzielności — nie spotkamy ani jednego wiersza któryby skorzystał z powszechnego prawa polskiej wersyfikacji „sylabiczno-tonicznej", (do której to połączenie dwóch „poloników" *), a nawet przy tradycyjnym ujęciu „stopowym", wiersz daktylo-trocheiczny należy) — skasowania średniówki z zachowaniem akcentu przedśredniówkowego. Nie ma więc wierszy typu: „Czerwcem i konwaliami pachnący", lub „Niesiony w lektyce przez drabantów", lub „Upiorny sen zamykał noc grozy" (przykłady wymyślone, bo nie wiem, czy znam rzeczywiste i czy znalazłbym w poezji polskiej). Jest to więc wiersz o trwałej, niezacieralnej średniówce, więc znów niezupełnie ścisły zrost tym razem dwóch pięciozgłoskowców. To jest wniosek w szczegółowym zakresie niniejszego metrum; wniosek o szerszem znaczeniu zrobimy dalej.

Zupełne wyłączenie 8-zgł. trocheicznych z pośród wierszy pisanych w metrum p. (1) jak również z pośród komponentów „sześciomiarowca" (szczególnie drastyczny przykład: „Pod groźnym naporem wroga chwieje i łamie się front" — nie, co by było lepsze stylistycznie, „chwieje się i łamie front", bo byłby to wiersz trocheiczny!) pozwala w związku z poprzednią obserwacją stwierdzić 1-o: nie ilość akcentów (wyrazowych) lecz także ich rozstawienie odgrywa rolę przy organizacji wierszy heterosylabicznych użytych w niniejszej książce; nie lękając się personifikacji, mógłbym powiedzieć: „metroid pamięta jakiego metrum jest wariacją"; 2-o nie ma racji Siedlecki interpretując „tonicznie" 8-zgł. dawniejszej poezji (romantycznej), u Słowackiego) jako trójakcentowce, w tej liczbie wiersze trocheiczne (I 89); tem bardziej wątpliwą jest interpretacja toniczna wierszy nie zachowujących izosylabizmu w poezji staropolskiej na tle panującej wówczas wersyfikacji atonicznej, „czysto-sylabicznej"; 3-o z porównania rozpatrzonych dotąd wierszy wynika, że wśród wierszy polskich są metra podległe „metroidyzacji", inne jej niepodległe, do tych ostatnich należy 10-zgł. (5+5) oraz 8-zgł. trocheiczny; można nawiasem dorzucić, że 6-zgł. męskie o toku jambicznym, zdarzające się jako wiersze lub jako człony półwiersze w utworach objętym naszym wyliczeniem pod (1) i (4) wydają się też mniej stosowne w porównaniu z takiemiż 6-zgł. o innym porządku akcentów; natomiast 10-zgł. formy 4+6 były już oddawna punktem wyjścia dla tworzenia wierszy im pokrewnych a heterosylabicznych, jeśli chodzi o metrum p. (1), to zwracam uwagę na ogłoszony niedawno przeze mnie w „Twórczości" (nr. 6) utwór Kraszewskiego, gdzie między 7-zgł. wkradł się niezauważony ani przez poetę ani przez jego czytelników wiersz 8-zgł., mimo, że nikt wówczas w Polsce, a specjalnie Kraszewski, o wersyfikacji czysto-tonicznej nie myślał. Choć może właśnie w tym wypadku, przy metrum p. (1), zasada akcentowa, w związku z asymetrycznym, praktycznie biorąc zawsze trójakcentowym 8-zgł., mogła odegrać największą rolę.

Konkludując te przydługie rozważania musimy stwierdzić, że system wersyfikacji czysto-tonicznej przymierzony do rzeczywistości wersyfikacyjnej polskiej źle do niej pasuje; sama nazwa, zapożyczona z tych wersyfikacyj (germańskich przede wszystkiem, gdzie specjalne warunki prozodii, istnienie np. dwóch akcentów w jednym wyrazie czynią go aktualnym), skąd został zapożyczony sam wiersz w momencie jego tryumfów od 1918 r. Księgi Ubogich, nie jest nazwą odpowiadającą istocie oznaczanych nią zjawisk. Rzeczywiście od tej chwili istnieje w poezji polskiej pewna grupa form metrycznych, których cechy, nawet drugorzędne lecz integralne (np. wyłączenie enjambement, daje się następnie ująć; lecz właśnie podstawowa cecha, akcentów stałej ilości, była najbardziej wątpliwa. Ostrość problemu wystąpiła po opublikowaniu prac Siedleckiego, który rozciągnął pojęcie czystego tonizmu daleko wstecz, podciągając pod nie bardzo różnorodne zjawiska naruszenia izosylabizmu. Zasady systemu wersyfikacji czysto-tonicznej nie potrafiły ich wyjaśnić; z drugiej strony klasyfikacja metrów „czysto-tonicznych" przy pomocy zasad tego systemu nie mogła być przeprowadzona dostatecznie subtelnie; np. z punktu widzenia tych zasad miałem słuszność protestując przeciw dalszemu zróżniczkowaniu trójakcentowców polskich choć moja teoretyczna słuszność sprzeciwiała się faktycznemu zróżniczkowaniu materiału, które Siedlecki dostrzegł, ale nie umiał uzasadnić teoretycznie. Z drugiej strony, miałem rację sprowadzając najrozmaitsze naruszenia izosylabizmu w 10-zgł (4+6) do wariacji tego metrum pojawiających się już za czasów romantyzmu, a niezależnych od ilości akcentów, co by dopiero je określało z punktu widzenia systemu wersyfikacji „czysto-tonicznej". Całkowita zmiana stanowiska pozwoli dopiero być może na racjonalne sklasyfikowanie tych naruszeń izosylabizmu, jako pochodnych pewnych określonych wzorów metrycznych.

Przed tym, przyjęcie mego punktu widzenia na naruszenia izosylabizmu w poezji polskiej XIX w., przy jednoczesnym pozostawieniu w sile systematu akcentowego w odniesieniu do poezji „dwudziestolecia", pociągało za sobą konieczność stworzenia jeszcze jednej kategorii metrycznej, jeszcze jednego systemu wersyfikacyjnego. Dopiero radykalne zerwanie z zasadą interpretacji tonicznej, a rozpatrywanie, zarówno w XIX jak w XX w., wierszy nie zachowujących izosylabizmu, jako jednej wielkiej kategorii „metroidów", nawiązujących w świadomości metrycznej odbiorcy do określonego metrum, pozwala na uzgodnienie stanowiska Siedleckiego z moim i na dostatecznie drobiazgową klasyfikację wszystkich tych zjawisk.

Pierwszym krokiem na tej drodze, do której wersyfikacja Jesieni niezapomnianej jest punktem wyjścia, pierwszym etapem badań, będzie rozpatrzenie się czy i w jakiej mierze, w jaki sposób i z jakim niezbędnym „luzem", wyniki spostrzeżeń, poczynionych na jednej książce, dadzą się uogólnić na całą masę stworzonych w poezji polskiej wierszy „czysto-tonicznych". Jak wielkie bywają odstępstwa od wzoru metrycznego w metroidyzacji (która w naszym wypadku nie przekracza jednozgłoskowych rozmiarów)? Prawdopodobnie trzeba będzie obmyśleć jakieś sposoby klasyfikowania wielkości tych odstępstw (tak jak np. metryści rosyjscy potrafili ująć w ścisłe współczynniki stopień urozmaicenia zmienności „rytmów mieszanych", mówiąc po polsku, obliczając np. „współczynnik uregulowania" „wolnych jambów" Puszkina). Jak się ma stosunek struktur rozmaitego stopnia odstępstw w metroidyzacji w praktyce poetów? U których przeważają struktury bliskie metrycznemu punktowi wyjścia, a u których inne? Jaka jest graniczna wielkość (prawdopodobnie nie dająca się ująć w ścisłe liczby) odstępstw od metrum podstawowego w procesie metroidyzacji? Po znalezieniu odpowiedzi na te pytania przed badaczem wersyfikacji otwiera się nowe, obszerne pole działania, a mianowicie uporządkowanie struktur heterosylabicznych według określonych wzorów wersyfikacji sylabiczno-tonicznej i ukazanie wśród tych ostatnich niektórych ukazujących idiosynkrazję do metroidyzacji, wyjaśnienie przyczyn tego — to jeszcze muzyka dalszej przyszłości. Narazie należy gromadzić i porządkować spostrzeżenia. Samo pojęcie sylabotonizmu rozszerza się jeszcze, nawet w porównaniu z moją dość szeroką, szerszą niż inne, jego koncepcją, gdyż odgrywający ogromną rolę historyczną w tworzeniu się polskiego systemu sylabiczno-tonicznego wiersz 8-zgł. „trójakcentowy" (odpowiadający w wersyfikacji „sarmackiej" czysto-sylabicznej 8-zgłoskowcowi asymetrycznemu, niedwudzielnemu), jest wierszem izosylabicznym, ale którego akcenty śródwierszowe nie dają się całkowicie ustalić, są zależne od jego budowy, która pozostaje ekwimetryczna w obu jej możliwych wariantach (ujmując we wzory sylabiczne: 5+3 i 3+5). Natomiast ilość akcentów jest niewątpliwie stała, a więc możliwa jest niejako dwoista natura tego metrum: sylabiczno-toniczna a z drugiej strony „akcentowa", co zauważył St. Furmanik, tworząc nową kategorię wierszy tonicznych izosylabicznych zarazem. Czy tworzenie nowego systemu dla jednego metrum jest racjonalne, a przynajmniej ekonomiczne? Czy nie jest słuszniejsze raczej przeprowadzenie odpowiednich zmian w definicji systemu sylabiczno-tonicznego, rozumiejąc pod tą nazwą wiersze zachowujące lik zgłosek ale i włączające akcenty do owych czynników metrotwórczych?

W dalszym ciągu pozostaje zagadnieniem, którego w ramach tych uwag nie chcę roztrząsać, sprawa wierszy niezachowujących izosylabizmu, na tle wersyfikacji staropolskiej, w moim pojęciu, atonicznej. Na jakich podstawach odbywała się tam „metroidyzacja" — oto osobne obszerne zagadnienie, co do którego nie można przewidzieć jak, a nawet czy zostanie kiedykolwiek rozwiązane. Ograniczając się tylko do wersyfikacji XIX i XX w., znajdujemy się jednak wobec szeregu niewątpliwych faktów, tłumaczących się jasno z proponowanego przeze mnie punktu widzenia; jego przyjęcie daje nadzieję, że doprowadzi on do daleko idących uproszczeń w systematyce nowożytnego wiersza polskiego i rzuci snop światła na jego istotę.

K. W. Zawodziński

*) Tę nazwę proponowałem oddawna dla 5-zgł. kolonu (o spadku paroksytonicznym) uważając, że w wersyfikacji polskiej odgrywa on rolę niesłychanie ważną, swoistą i bodaj decydującą w przekształcaniu się naszego wiersza (od XVIII w. począwszy) na syllabotoniczny. Właściwości tu podkreślone powiększają ilość względów, dla których wiersz ten powinien być przedmiotem specjalnych badań, może dających nadzieję na wznowienie teoretyczne jedności wiersza polskiego („monizmu" wersologicznego), obalonej przez „polisystematyzm".

HORACY

DO MECENASA

Nieladajakim wzwyż odjazdem,
Dwukształtny, wzniosę się nad miastem,
Ptak i poeta, frunę w gwiazdy,
Ziemskiej próżen zazdrości.

Który mi życzysz, jak nikomu,
Choć z ubogiego jestem domu!
Nie sięgnie mnie tam śmierci pomór
ni styksowe ciemności!

Już nogi w zmarszczkach nowej skóry
I jużem biały ptak odgóry,
Już ramię, polotnemi pióry
Obrastając, skrzydleje.

Szybszy niż Ikar, z śpiewem głośnym,
Widzę huczący Bosfor groźny,
Gaetulii widzę piach nanośny
Oraz Hyperboreje.

Pozna mnię Kolch, i ziemia mroźna
Gelonów, i Iberia można,
I Dak, podszyty tchórzem, pozna
Mnie, syna wyzwoleńca.

Więc gdy mnie w ziemi będziesz grzebał,
Wiedz: mnie rozpaczy nie potrzeba,
Ni szpetnych łez, ni skarg do nieba,
Ni żałobnego wieńca.

VIDES, UT ALTA STET...

Spójrz, jak Soraktu szczyt
Biało się jarzy w śniegu,
Rzeki ściął ostry mróz
I zatrzymał je w biegu,
Las się pod śnieżnym ciężarem ugina.

Nie skąp ognisku drew,
Sobie nie żałuj wina,
Każ czteroletnie dać
Z dwuusznego sabina:
To cię, Taliarchu, przed mrozem uchroni.

Reszta — to bogów rzecz.
Ufaj im. Bo gdy oni
Wichry przepędzą precz
Z morza wrzącego toni,
Nie drgnie już cyprys ni stare jesiony.

Troskę o jutro rzuć!
Każdy dzień ze spokojem
Przyjmij za losu dar
Zapisz na dobro swoje,
Baw się Kameną i wiedź korowody.

Zanim ci przykry szron
Włosy przysypie, młody! —
Idź na ulicę, w tłum,
zaznaj miłej swobody
Schadzek wieczornych przy szepcie
tajemnym...

Chętnej dziewczyny śmiech
Zdradzi ją w kątku ciemnym,
Kiedy zesuwasz w dół
Klejnot jej naramienny...
Niby się wzbrania, lecz opór daremny.

QUO ME, BACCHE...

Bakchu, którym wezbrałem cały,
Dokąd gnasz? na jakie skały?
W jakie gaje, w jakie jaskinie
Nowy duch mnie ponosi ninie?
Która słuchać będzie pieczara,
Gdy zamyślam sławić Cezara,
Gdy blask wieczny Najwspanialszego
Do Jowisza chcę wznieść na niebo?
Powiem nowe, niespodziewane
Dziwy, dotąd niepowiedziane!
Tak bachantka, ze snu wybita,
Że skał patrząc, zdumieniem wita
Śnieżną Trację, Hebr i Rhodopę.
Wydeptaną przez wrażą stopę.
I mnie lubo, gdy w zachwyceniu
Las bezludny podziwiam w cieniu!
O, władnący Panny Leśnemi,
Co potrafią wyrywać z ziemi
Rosłe dęby rąk samych siłą!
Spraw, by w pieśni mojej nie było
Nic z miłości poziomych rzeczy,
Ale głos mi daj nadczłowieczy!
O, Leneju! Słodka to trwoga
W niebezpieczne iść ślady boga,
Co swe skronie oplata liściem
Winogradu, świeżym wieczyście!

przełożył **Julian Tuwim**

ADAM WAŻYK

ŚMIERĆ ZENOBJI

ZENOBJA przesiadywała wieczorami w domu. Stroniła od ludzi, przestała odwiedzać znajomych, uroiła sobie, że wszędzie ją obgadują w związku z Karolem, że patrzą na nią podejrzliwie. Może i była w tem połowa prawdy, sama lekkomyślnie zapracowała na obmowę. Któregoś dnia Karol zastał u niej koleżankę biurową suchą starą pannę, Zenobja powinna była odprawić go w przedpokoju, jeżeli zależało jej na uniknięciu plotek, ale Zenobja nie była konsekwentna. Przedstwiła go koleżance biurowej jako kuzyna, chciała pochwalić się przed nią Karolem. Potem ta wiedźma obgadała ją w biurze i Zenobja poczuła się tam jak w gnieździe os, i to już minęło, bank zwinięto — jedna z wielu wojennych likwidacyj — Zenobja dostała na odprawę 30 rubli, prawie miesięczną pensję. Od sześciu tygodni szukała nowej posady, dawała ogłoszenia do gazety, chodziła na giełdę pracy. Myślała już i o powrocie do swojego pierwszego zajęcia, zgodziłaby się pójść na guwernantkę, gdyby chciano ją gdziekolwiek przyjąć. Powtarzała Karolowi, że jakoś da sobie radę, że nie zginie. Według Karola niepowodzenia Zenobji oznaczały tylko „złą passę", przez którą trzeba cierpliwie przebrnąć. „Zła passa" nie mogła doprowadzić Zenobji do głodu, strącić jej poniżej ich wspólnej granicy socjalnej. Los musiał się odmienić, choćby w ostatniej chwili, po rozdrobnieniu ostatniego rubla na miedziane kopiejki, upewniało go o tem jakieś poczucie irracjonalne, ale zakorzenione w nim głęboko, jak w kim innym wiara w Opatrzność. Sam miał potężne łaty na łokciach mundurka, więc pocieszał się, że czas degraduje ich oboje, że osuwają się w jednakowym tempie, nie tracąc jednak gruntu pod nogami.

Zenobja dla oszczędności chodziła po domu bez pończoch w rannych pantoflach, w umówione wieczory czekała na niego, nie paląc światła. Leżała w ubraniu na łóżku i zrywała sie na odgłos dzwonka. Czasami gaz nie szedł. Wtedy pozwalała Karolowi wrzucać pięciokopiejkową monetę do automatu w przedpokoju. Karol traktował to jak swój przywilej, jak wspólnie ustalony obrządek, który można było doskonale wytłumaczyć sobie tem, że Zenobja w oczekiwaniu na niego nie potrafiłaby się niczem zająć, ale przyszedł w piątek, zamiast w sobotę i tego dnia również siedział w mieszkaniu pociemku, chociaż starczało jeszcze gazu do zapalenia lampy w pierwszym pokoju i zagrzania wody na maszynce w kuchni.

Zenobja nastawiła czajnik. Właśnie myślałam o tym, że powinnam umyć głowę! Spojrzał na jej gołe nogi człapiące w rannych pantoflach i nie spodobało mu się to nagłe mycie włosów. Wszedł do sypialni, namacał pociemku kołdrę. Nakryta pościel była zakleśnięta. Zanim przyszedł, Zenobia leżała skulona na łóżku. Nie od dzisiaj podejrzewał, że wpadała w apatię. Odpychał od siebie to odkrycie, które narzucało mu się z dnia na dzień, wolał nie wiedzieć... To przymykanie oczu przypominało mu własnego ojca i raziło go, jak każde niepożądane podobieństwo do charakteru ojca, do jego niedbalstwa, gorzko wytykanego przez matkę. On miał na pewno inny, bardziej stanowczy charakter, niż ojciec, żądał wyraźnych sytuacyj, nie znosił rzeczy wieloznacznych. Czy nie po to wyrwał się z domu, żeby przyłapać Zenobię? Umyślnie przyszedł o dzień wcześniej, bo chciał wymierzyć jej depresję do samego dna. Przywitała go z ciepłym zdziwieniem — właśnie myślałam o tobie — wzięła go w objęcia i pocałowała, tak jak tego chciał, czułymi ustami w usta, ale tym razem nie dał się zmylić. Strach przed głodem narastał i przygniatał ją w ciemnym mieszkaniu do łóżka, w norze czarnej jak rozpacz, kiedy jemu zdawało się, że Zenobia czeka na światło z jego ręki. Nie mógł nic na to poradzić, nie miał pieniędzy. Nie zebrałby nawet tyle, żeby oddalić od niej ten strach na kilka dni. Korepetycji, na którą liczył, nie dostał.

Zenobia wróciła z kuchni.

— Jest co nowego? Oferty, adresy?

— Wyżebrałam na giełdzie dwa adresy. Poszukują nauczycielki do dziecka, guwernantki. Nic z tego, wolą przyjąć młodszą osobę, z referencjami, weselszą. Karolu, czy ja naprawdę jestem ponura?

— Nie słuchaj, co ci mówi jakaś paniusia, pies ją trącał. Gwiżdż na jej dziecko, bo rzeczywiście — guwernantka to nie zajęcie dla ciebie. Są przecież jeszcze małe biura rozmaitego typu, tam łatwiej dostać się kobiecie. Poszukują stenotypistki, korespondentki, biuralistki do pisania próśb. Płacą głodową pensję, to prawda, ale do takiej roboty masz chyba kwalifikacje?

— Wiesz, ile kobiet lata za każdą taką posadą jeszcze od jesieni, od sierpnia? Niektóre mają dzieci. Ja jestem sama, ja nie mam dziecka... Na pracę biurową nie można dziś liczyć, trzeba zacząć na nowo od początku, od szukania posady przy dzieciach. Jestem znowu w tym samym miejscu, co wtedy, pamiętasz, kiedy poznałam Wieligockich i cisnęłam ostatnią kondycję? To tak, jak gdyby czas przesunął się wstecz i kazano mi wrócić na tamtą kondycję i znowu udawać pudla. Wszystko, co było potem, przekreślono, i to, że pracowałam po prostu, po ludzku, i to, że miałam męża, że chciałam mieć własne dziecko. Karolu, to jest okropne... Jak ja mam dzisiaj zacząć na nowo? Nie mam już siedemnastu lat.

— Tamte, zlikwidowane od jesieni, tamte jednak żyją. Czekają i żyją. Z czego?

— Skąd ja mogę wiedzieć? Nie wiem!

— Rodzina im pomaga?

— Była u mnie wczoraj ta wiedźma, którą tu widziałeś. Dawała mi stateczne rady. Powinnam wrócić do rodziny, powiedziała mi, że tak będzie lepiej i dla mnie i dla męża. Nie pisać listu, tylko od razu pojechać... Siostra będzie musiała mnie przyjąć, posadzi mnie za ladą i będę sprzedawała piwo.

Skrzywiła się z obrzydzeniem.

— Powiedz, ile zostało ci jeszcze pieniędzy, na jak długo starczy. Pożyczę skądsiś kilka rubli.

— Nie trzeba, jeszcze nie głoduję. Przez te sześć tygodni wydawałam tylko na życie. Nie płaciłam komornego, posługaczce też jestem winna, przestała przychodzić. Ta wiedźma zaglądała do mojej szafy, powiedziała mi, że to nie szafa, ale worek gałganiarza. Bluzki i suknie, wszystko znoszone, ani tego włożyć na siebie, ani sprzedać Wiosna w tym roku tak szybko idzie, nie mam w co ubrać się na ulicę. Leży tam jeszcze w szafie bielizna, ale co wyciągnę, to rozsypuje mi się na ciele. Wiesz, zrobiłam coś obrzydliwego, wypchnęłam ją z mieszkania. Wyleciała z wrzaskiem, przed tym ugryzła mnie w rękę. Nie wierzysz? Patrz, jest jeszcze znak...

Zapędziła się i wyciągnęła rękę, żeby pokazać Karolowi ślad po ugryzieniu. Opamiętała się, zanim zdążył sprawdzić, przypomniała sobie, że woda w czajniku mogła tymczasem wyparować, pobiegła do kuchni.

— Nie smuć się, nie pojadę do siostry, starczy mi jeszcze na obiad — powiedziała mu po drodze, w sypialni.

Czajnik na kuchni syczał głośno i gniewnie, puszczając parę z dzioba, i pokrywka tańcząc dzwoniła w otworze nad wrzącą wodą.

— Poczekaj tu na mnie. Rozbierzesz się i położysz?

Pogłaskała go po głowie i Karol przytrzymał jej rękę, odszukał ustami pogryzione miejsce, zdawało mu się, że wyczuł obrzęk. Potem, kiedy Zenobia zostawiła go samego, zawstydził się tego gestu, bo to nie był odruch, tylko gest, który miał naprawić złośliwości dawnej koleżanki biurowej. Przyjmował głaskanie po włosach i odpowiadał na to Zenobii, jak wyuczone dziecko — matce. Czajnik przestał syczeć, Zenobia skręciła maszynkę, wróciła na chwilę do sypialni, rozebrała łóżko dla Karola. Nie słyszał, co mówiła przy tym, patrzył się bezradnie, jak przetrząsała pościel i zdawało mu się, że mówiła coś, co nie ma znaczenia i nie wymaga odpowiedzi. Zenobia otworzyła szafę, zdjęła suknię, narzuciła na siebie szlafrok i nareszcie poszła myć włosy.

Uprzytomnił sobie z opóźnieniem, że spytała go przy łóżku:

— Może wolisz, żebym odłożyła to mycie włosów do rana?

Rozpiął guziki mundurka i marudził, nie śpieszyło mu się do łóżka. Siedział w ubraniu na kołdrze, wygładzał ręką zimne, nieświeże, zmięte powleczenie, bez radości, bez tej podskórnej pobudki, która grała w nim zwykle, kiedy czekał na Zenobię. Najchętniej wróciłby do domu, ale jeszcze wstydził się przyznać, że tak szybko przygasł.

Wszedł nieproszony do kuchni, Zenobia siedziała na stołku, z rozpuszczonymi włosami, pochylona nad miską, parującą na kuchence, niezdecydowana, jak gdyby nie miała odwagi zanurzyć włosów we wodzie.

— Słuchaj, Zeno, wpadłem tylko na chwilę, żeby z tobą pogadać. Nie mogę zostać, Albin zachorował, powinienem wrócić do domu.

Zenobia wzięła to po prostu za wymówkę.

— Karolu?

— Nie powinnaś liczyć się ze mną, musisz zdecydować się na wyjazd do siostry, nie ma innego wyjścia.

— Powiedz otwarcie, że masz mnie dosyć. Jestem już zbyt ponura.

— To nie twoja wina. Nie dałem ci ani trochę radości, przeciwnie, powiększam twoją depresję. Stale robiłaś sobie wyrzuty, że nie możesz obejść się bez mężczyzny, że zdradzasz męża, że przywiązujesz się do mnie... Będzie lepiej dla ciebie, jeżeli rozstaniemy się na pewien czas, łatwiej otrząśniesz się z przygnębienia, pojedziesz do siostry, zobaczysz, że to nie jest takie straszne siedzieć za ladą i sprzedawać piwo. Ten rajfur, twój szwagier, nie ośmieli się zrobić nic złego...

Zenobia kiwała głową i wielkie mętne łzy ściekały wzdłuż jej wypukłych policzków do miski.

Widok tych łez wywoływał nieznośną cierpkość w ustach. Karol wypowiedział wszystko, czego wymagały okoliczności i wycofał się z kuchni, wrócił jakoby do sypialni, ale Zenobia wiedziała, że za chwilę i tam go nie będzie, uciekał jak szczur z tonącego okrętu. Nie próbowała zatrzymać go, aby pożegnać się z bliska, oszczędziła mu tej zbytecznej, uciążliwej procedury.

Czekał jeszcze na wiadomość od Zenobii. Mogło się przecież okazać, że Zenobia dostała jakąś posadę, że za pochopnie odsyłał ją do szwagra hotelarza, miasteczkowego stręczyciela, do siostry, z którą nie utrzymywała stosunków od czasu, jak uciekła z domu. Kręcił się bezczynnie po domu, dla pretekstu przesiadywał przy łóżku Albina, czytał mu gazety, komunikaty z frontu. Wyrywał się na godzinę czy dwie do Maksa Blaufelda. Ferie wielkanocne rozpoczęły się wcześniej, niż przewidywano, już w sobotę zwolniono uczniów z lekcji. Pogodził się z Maksem przy wyjściu ze szkoły, obiecał mu, że po wyzdrowieniu Albina, jak tylko odzyska wstęp do domu Nastki, postara się wprowadzić go do gabinetu Wieligockiego. W niedzielę zapowiedział Ewie, że może nadejdzie dla niego list czy kartka przez posłańca. Ewa zapamiętała to sobie, nie potrzebował przypominać jej codziennie, że wciąż jeszcze oczekuje znaku od Zenobii. Wracał od Maksa do domu z niedorzeczną nadzieją i po spojrzeniu Ewy poznawał, że nic nie nadeszło.

Przyśniło mu się, że odszukał Zenobię w jej rodzinnym miasteczku, siedziała tam w zajeździe, za ladą przy piwie, napastowała ją banda pijanych oficerów. Poszedł z rana do biura informacyjnego na dworcu, dowiedział się, ile kosztuje bilet trzeciej klasy do tego miasteczka. Bilet w jedną stronę kosztował 4 ruble 40 kopiejek. Obliczył, ile potrzeba pieniędzy na sprowadzenie Zenobii z powrotem do Warszawy. Dwa bilety dla siebie, tam i z powrotem, jeden dla Zenobii — to wynosiło 13 rubli 20 kopiejek, okrągło wraz z dodatkowymi kosztami 15 rubli. Zenobia nie mogła wrócić do dawnego mieszkania, gospodarz tylko czekał na wyprowadzkę lokatorki, która przestała płacić komorne. Skierowałby Zenobię do Miklasowej, ciotka dostałaby pięć rubli zadatku i na pewien czas Zenobia miałaby spokój. Na razie wystarczyłoby dwadzieścia rubli na utrzymanie, dopóki nie udałoby się Zenobii o cośkolwiek zahaczyć. To wszystko razem wynosiło co najmniej 40 rubli. Jeszcze nie był pewien, czy Zenobia wyjechała, na wszelki wypadek chciał jednak mieć pieniądze przy sobie. Maks mógł wyciągnąć od brata pięć rubli, najwyżej dziesięć, ale nie taką sumę, radził Karolowi racjonalnie — przedtem dowiedzieć się, czy Zenobia naprawdę wyjechała, potem namyślić się, czy warto mu będzie ściągać ją z powrotem do Warszawy.

Pojechać do nieznanego miasteczka, wyciągnąć Zenobię z za lady restauracyjnej, wrócić we dwoje wieczornym pociągiem — to byłoby piękne, ale wobec szalonych kosztów tej wyprawy, wolałby, żeby do tego nie doszło. Obmyślił sobie przesądnie, że jeżeli będzie miał 40 rubli w kieszeni, to wyprawa koleją okaże się zbyteczna. Zenobia nie wyjechałaby bez ostatecznego pożegnania, zawiadomiłaby go, żeby przyszedł na dworzec. Liczył jeszcze na to, że zastanie ją w Warszawie. Zenobia była starsza od niego i na pewno lepsza, nie powinna była brać mu za złe, że tak łatwo zdecydował się na rozstanie. Wtedy nie wiedział jeszcze, jak trudno jest zrezygnować. Wspomnienie Zenobii uderzało prądem ciepła pod skórą i odbierało mu przytomność na kilka taktów pusu. Ocykał się zdziwiony przy łóżku Albina, ale to jeszcze nie było najgorsze. W nocy wtłaczał ustami w poduszkę nieprzytomne słowa, którymi miał przebłagać Zenobię, czepiał się jej rąk — nadaremnie. Zenobia nie słuchała, nie czuła jego dotyku, karała go obojętnością i znowu stał się dla niej obcy, jak niegdyś, w grudniu, kiedy siedziała w stołowym naprzeciw Wieligockiej.

Wziął od Maksa na razie pięć rubli i poszedł do Zenobii w dzień, przed południem, wybrał umyślnie tę porę na dowód, że tęsknił nie tylko do łóżka w sypialni.

Dzwonił do mieszkania Zenobii bez skutku. Nie przepytał się u dozorcy, czy wyjechała, wolał spędzić kilka godzin w niepewności. Przyszedł drugi raz przed wieczorem i zastał drzwi od mieszkania otwarte. Byli tam jacyś ludzie, administrator domu oprowadzał po pustym mieszkaniu dwoje staruszków, mówił, że jak da się nową tapetę, to będzie wyglądało bardzo przyzwoicie. Stara tapeta po zniknięciu mebli obnażyła wszystkie naraz zadarcia i dziury, z których prószył tynk. Stojąc w pierwszym pokoju, Karol słyszał, jak administrator w sypialni mówił do staruszków, że niechlujna lokatorka zaniedbała mieszkanie. Lokatorka wyprowadziła się przed tygodniem, wyjechała z Warszawy. Karol wiedział już, że rozstał się z Zenobią ostatecznie. Gdyby nawet uparł się i zebrał 40 rubli, to nie starczyłoby mu chęci szukać jej za ladą w jakimś litewskim miasteczku. Uwolnił się od tego projektu jak od ciężaru i słuchał o wyjeździe Zenobii tak obojętnie, jak mówił o niej ten człowiek, dla którego Zenobia była po prostu niechlujną lokatorką.

Koło administratora kręcił się syn stróża. Karol znał go z widzenia, chłopak paradował zimą po bramie w kożuchu ojca, wyglądał na lat szesnaście, odprowadzał Karola domyślnym spojrzeniem, wiedział u kogo Karol nocuje.

Chłopak zatrzymał go i zaciągnął do kuchni w porozumieniu z administratorem, który tymczasem wyprowadził staruszków z mieszkania. W kuchni przy oknie Karol usłyszał od tego chłopca, że Zenobia otruła się gazem. Zostawiła kartkę przed śmiercią: „Nikogo nie winić. Mężowi powiedzieć, że umarłam na atak serca". Kładąc się spać, odkręciła kurek w sypialni i zamknęła drzwi, żeby gaz nie ulotnił się po całym mieszkaniu. Obeszło się bez wyważenia zamku w drzwiach frontowych, Zenobia umyślnie, dla oszczędzenia ludziom fatygi, zostawiła na noc drzwi niedomknięte. Z rana dziewczyna ze sklepiku, przynosząc bułki, zastała ją zaczadzoną w łóżku, w koszuli, tak, jak Zenobia położyła się spać. Zawiadomiono rodzinę i nikt nie przyjechał. Zwłoki przewieziono do prosektorium, meble i wszystkie ruchomości na razie gospodarz kazał stróżowi przenieść na strych.

Chłopak mówił gęsto, opowiadał w kółko i grdyka mu skakała — Karol widział ją wyraźnie na tle okna zamalowanego ordynarną czerwienią zachodu. Ta czerwień była nienaturalna, jak gdyby naprędce dorobiono ją do sznurów pod sufitem, czekających na bieliznę Zenobii, do podłużnych parkietów kuchennych, gnijących po kątach. Mieszkanie wietrzyło się przez dwie doby i nawet w sypialni, przez którą Karol przesunął się, idąc za chłopcem, nie czuć było gazu. Nic po Zenobii nie zostało tutaj, ani w pokojach, pustka wytwarzała złudzenie, że dawno minęły te czasy, kiedy nocował u Zenobii. Niepokoiły go tylko sznury, których nie zdążono zdjąć, nie patrzył na sznury. Na deszczułce okna leżały dwie zapomniane torebki, obie pęknięte — z jednej sypało się bielidło, druga rozmokła i przez dziurę wyłaziły grudy wilgotnej soli. Bezmyślnie nabrał soli na język i splunął, poczuwszy nie tylko smak soli, ale i bielidła, które niewiadomą drogą przylgnęło mu do palca. Na deszczułce zauważył kredową plamę. Widocznie, słuchając opowiadania o śmierci Zenobii, rozwodził bielidło palcem po deszczułce. Wytwarzały mu się w pamięci jakieś luki, nie chwytał wszystkiego, co mówił ten chłopak ze skaczącą grdyką, za to wciąż słyszał, że nikt z rodziny Zenobii nie przyjechał na wiadomość o jej śmierci.

— Podróż drogo kosztuje, dziesięć rubli w jedną stronę — wtrącił na usprawiedliwienie ojca i siostry Zenobii, podwajał cenę, którą dokładnie pamiętał. — Kto ma powiedzieć mężowi, że umarła na atak serca? Policja nie może mówić inaczej, niż napisano w akcie zejścia.

Usłyszeli kroki administratora i Karol spłoszył się, wolał stąd odejść. Chłopak wypuścił go na schody przez drzwi kuchenne. Ten chłopak był bardziej wstrząśnięty, niż on, może dlatego, że widział martwą Zenobię w koszuli na łóżku. Karol aż sam się dziwił, że wiadomość o śmierci Zenobii tak mało go przejęła. Wszystko, co słyszał od tego chłopca, odnosiło się do dawno przebrzmiałych czasów, kiedy nocował u Zenobii, ale nawet wtedy, w tej zamkniętej już epoce nie dotyczyło go bezpośrednio. Włączył swój związek z Zenobią do opowiadania chłopca od stróża, jak gdyby i tamto, co sam przeżył w jej mieszkaniu, znał jedynie z cudzej relacji. Wycofał swój udział z losu Zenobii, pozostała tylko znajomość z domu Wieligockich, urwana w grudniu, kiedy odwiózł Zenobię dorożką i poszedł do Maksa Blaufelda, dalszy ciąg tej znajomości był już niepewną, niezupełnie realną historią z dwojakim zakończeniem, może Zenobia otruła się gazem w sypialni, a może jednak było inaczej — wróciła do rodzinnego miasteczka na Litwę. Odjazd czy śmierć — na razie to było dla niego prawie równoznaczne jak dla dziecka, ale wiedział, że odjazd jest lepszy od śmierci. Upierał się przy tym pierwszym rozstrzygnięciu, jak gdyby miał prawo wyboru. Obracał się na ulicy, czekał, może chłopak od stróża dogoni go i powie, że Zenobia pojechała do rodziny, tak, jak on jej to podyktował, do siostry, czy nawet do ojca, który wolał zapomnieć o córce. Nikt z rodziny nie odezwał się na wiadomość o śmierci Zenobii, ale to jeszcze nie przekonywało Karola, że Zenobia nie miała innego wyjścia, jak samobójstwo, nie rozumiał, dlaczego otruła się gazem, nie wyczerpawszy ostatniej rezerwy, nie wierzył chłopcu od stróża i uciekł przed administratorem, żeby nie słyszeć potwierdzenia.

Adam Ważyk

Zamieszczamy urywek z powieści „Mity rodzinne", ogłoszonej w r. 1938, której wznowienie ukaże się wkrótce nakł. Spółdz. Wyd. „Czytelnik".

ADAM MAUERSBERGER

Z PAMIĘTNIKÓW KARDYNAŁA RETZA

TYCH PIERWSZYCH momentów wypatrują ludzie z największą niecierpliwością. Zdumiewały one tym więcej, że wskutek dość dziwnej niedoskonałości natury ludzkiej — był w nich najprzykładniej sobą. Przyszłość okazała, że był za mało człowiekiem, by zdołał odpowiedzieć owym oczekiwaniom. Wydawał się tak daleki od tego, by się czymkolwiek odznaczyć, że gotowi byliśmy uwierzyć, iż sprawiało mu to ból. Gorzko płakał w chwili, gdy odczytano wynik głosowania, z którego wychodził papieżem. A gdy spostrzegł, że to widzę, objął mnie ramieniem, a wolnym Lomelliniego, (który po drugiej jego stronie miał miejsce niższe) i rzekł: — „Wybaczcie słabość człowiekowi, co zawsze kochał swoich bliźnich a teraz zawsze widzi się od nich rozdzielony".

— Zeszliśmy po zwykłych uroczystościach do Świętego Piotra. Tylko żeby usiąść w rogu ołtarza — nie przystał na więcej, chociaż mistrzowie ceremonii nalegali, iż jest zwyczaj, żeby papieże zajmowali miejsce po środku. Przyjął adorację Świętego Kollegium nie tyle z radością co z przygnębieniem, nie tyle z majestatem co ze wstydem.

— Już nazajutrz, bardzo uroczyście, kazał dla siebie umieścić pod łóżkiem trumnę. Następnego dnia przepisał osobny strój koadiutorom kardynałów, trzeciego wzbronił kardynałom żałoby (w każdym razie noszenie jej osobiście), choćby po rodzicach. Jakbym to widział, więc zaraz mówię Azzolinjemu, który się ze mną zgadza, żeśmy się wystrychnęli na dudków, że z papieża nic więcej nie będzie tylko zwykły poczciwina. Kawaler Bernini, który ma rozum w głowie, mówił mi dwa czy trzy dni później, że gdy przedstawił papieżowi posąg, uwaga papieska zatrzymała się tylko u dołu sukni, na malutkich frędzelkach w rzeźbie. Te spostrzeżenia, niby lekko rzucone, mają swoją wagę. Ludzie wielcy mogą więc wielkie wady i nie od wszystkich słabostek są wolni, lecz są takie, którym nie bywają podatni. I nie widziałem, naprzykład, żeby rozpoczynali wielkie dzieło od bagatelki.

— Azzolini, który ma ten sam sposób widzenia co i ja, radził mi nie tracić czasu, tylko brać z Rzymu korzyści, brać paliusz i zostać arcybiskupem Paryża.

Tak pisze w swych pamiętnikach kardynał Retz.

Jakoż Aleksander VII na swoją głowę, to znaczy na głowę Kościoła, ściągnął upokorzenia, słusznie zaliczane do największych. Nawet musiał wystawić im pomnik w Rzymie, gdzie ku swej hańbie, na specjalnie w tym celu wzniesionej piramidzie, trzeba było zamieścić spis nieszczęsnych wydarzeń. Albowem, gdy Aleksander zdradził się z zamiarami politycznymi, okazały się one proaustriackie, więc jak zawsze, aż po ostatnie dni monarchii habsburskiej, były one kamieniem obrazy dla Francji.

W tych ogólnych okolicznościach, gdy w Rzymie doszło do jakiejś bójki ulicznej i w burdzie zraniono pazia u karety pani de Créqui, żony ambasadora Francji, gdy gwardia korsykańska stanęła po stronie tłumu, który tymczasem wedle wszystkich wymagań przestarzałej książki pana Lebon, uformował się nagle i z szybkością tylko sobie właściwą przeniósł się pod pałac ambasadora, wówczas Ludwik XIV — do Włoch posłał wojsko. Wcielił do Francji papieskie hrabstwo Venaissin ze stolicą, której samo imię mogło brzmieć w tych okolicznościach nieprzyjemnie; jakby przestrogą przedtem, dokąd mogłyby zaprowadzić dalsze wypadki: stolica tego hrabstwa nazywała się Avinion. Ponieważ posiadłość ta nie powróciła już ani do Państwa Kościelnego, ani do Zjednoczonych Włoch, wcielił ją król francuski przyszłym pokoleniom na pamiątkę. Trzeba było wstrzymać tak łatwo sprowokowaną agresję. Przyszło więc wyprawić synowca młodego kardynała Chigi z przeprosinami do Arcychrześcijańskiego Króla, przyszło wyprawić rodzonego brata na spotkanie powracającego do Rzymu ambasadora, powracającego w tryumfie i z satysfakcją o jakiej nie śniło się dawnym mistrzom ceremoniału. Dzisiejszym dyrektorom protokułu, znawcom prawa międzynarodowego i historii dyplomatycznej i jakiej napróżno pozazdroszczą wszyscy ci, co odtąd domagając się słusznej satysfakcji, redagowali noty werbalne, a przede wszystkim ci, co w naszych czasach i w przyszłości po złożeniu energicznego protestu, powróciwszy do względnej ciszy i nieochłonąwszy jeszcze, poddadzą się porównaniom i rozmyślaniu. To wówczas trzeba było wystawić rzeczoną piramidę z tym fatalnym niestety napisem, wystawić jedną szubienicę dla zbira, drugą dla gwardzisty i trzeba było rozpuścić korsykańczyków. Czyż widok tylu niepowodzeń da się porównać z widokiem przechadzającej się po Wiecznym Mieście niedoszłej królowej polskiej, przyjaciółki Kartezjusza, Krystyny Szwedzkiej, nawróconej na łono Kościoła, tej szalonej sawantki, która po złożeniu korony, po zabójstwie swego kochanka Monaldesqui'ego, gdy wyproszono ją z Francji, osiadła w Rzymie?

Czemu więc, jakże więc do tego przyszło, że wybrano papieżem kardynała Chigi?

Czytajmy słowa kardynała Retza, wysłuchajmy głosu świadka z Świętego Kollegium i przyszłego arcybiskupa Paryża posłuchajmy o tym konklawe, ciągnącym się bezowocnie przez dni osiemdziesiąt zgórą. Czytajmy o zachowaniu się natenczas szczęśliwego elekta, nieszczęsnego w przyszłości papieża.

— Nie było go widać ani w oknie, dokąd każdy się zbliża, by odetchnąć świeżym powietrzem, ani w korytarzu, gdzie przechadzamy się wspólnie. Zamykał się zawsze w swej celi, gdzie jednej nawet nie przyjął wizyty. Za to wziął odemnie kilka rad w głosowaniu, ale odbierał je zawsze w sposób do tego stopnia nie mający nic wspólnego z myślą o tiarze, że budził podziw; albo ostatecznie przyjmował je z obostrzeniami, tak wypełnionymi duchem kościelnym, że najczarniejsza nieżyczliwość nie mogła wyimaginować innego starania niż to, o którym mówi Święty Paweł w słowach: qui episcopatum desiderat — bonum opus desiderat. Wszystko com słyszał z jego ust było wypełnione tylko gorliwością dla Kościoła i żalem, że Rzym za mało obserwuje Pismo, sobory, tradycję.

— Kiedy rozprawiałem o teologicznych zasadach, ustalonych w Sorbonie, zawsze słuchał i był niezmordowany. A jednak nie można nigdy tak umiejętnie udawać żeby coś naturalnego nie wymknęło się, więc nie mógł dość dobrze się zamaskować, abym nie spostrzegł, że był człowiekiem drobiazgów, co zawsze nie tylko jest oznaką miernego umysłu ale i nędznej duszy.

— Pewnego razu mówił o swych naukach w młodości i dodał, że dwa lata pisał jednym gęsim piórem. To niby błahostka. Ale, że zauważyłem, iż małe rzeczy to często lepsze znaki niż największe powiedzenie nie podobało mi się. Powtarzam je księdzu Charrier, który był jednym z moich konklawistów. Pamiętam jak mnie zgromił, mówiąc, że jestem potępiony, że nie potrafię uszanować prostoty chrześcijańskiej. Więc krótko, by skończyć: Chigi tak dobrze się sprawił, pozorami wywodząc nas w pole, że bez względu na małostkowość, której nie mógł ukryć, z którą się zdradzał w drobiazgach, mimo fizjonomii, która była nikczemna, i która miała coś z lekarza, chociaż był dobrego urodzenia — powtarzam — tak dobrze się sprawił, iż zdawało się nam, że gdybyśmy tylko mogli ukoronować go tiarą, wskrzesimy pod jego imieniem chwałę i cnoty Grzegorzów i Leonów. Omyliliśmy się w tej nadziei.

A jaką była jego kariera, skąd został kardynałem?

— Był kardynałem z ustanowienia papieża Inocentego, trzecim w tej promocji, w której ja byłem pierwszym. Był inkwizytorem na Malcie i nuncjuszem w Münster i we wszystkich tych miejscach zyskał sobie reputację niesplamionej niewinności. Obyczaje jego były bez zarzutu i to od dzieciństwa.

— Wystarczająco znał nauki wyzwolone, by z jakimś polorem i inne umiejętności mogły ujść w jego ustach.

— Jego prawość nie wydawała się oschła, jego poglądy uchodziły za słuszne. Mówił niewiele lecz to niewiele było zmiarkowane i rozsądne. Savio col silenzio — był w tym lepszy niż ktokolwiek, kogo widziałem. Wszystkie objawy szczerej i głębokiej pobożności dawały zarys cnót, będąc tylko odbiciem pozorów. Stały się one ciałem co najmniej fantastycznym: z racji tego co się w Münster zdarzyło między Chigim a Serwiuszem. Ten był znanym i uznanym demonem i burzycielem pokoju. Poróżnił się okrutnie z Konstariuszem, ambasadorem weneckim, człowiekiem mądrym i porządnym. Chigi opowiedział się za Kontariuszem, wiedząc, że to mu zjedna Inocentego.

— Niechęć Serwiusza, który był przekleństwem ludności, zjednała mu powszechną miłość, zdobiąc go rozgłosem. Podejrzliwość i pogarda, którą okazał Mazariniemu, zarówno w Akwizgramie jak i w Brukseli (gdy właśnie powracał z Münster) podobała się Jego Świętobliwości. Przywołany do Rzymu, został sekretarzem stanu i kardynałem. Znano go tylko z tego co ci przed chwilą zaznaczyłem. Ile, że Inocenty był to umysł tęgi i przenikliwy, nie znalazł w Chigim tej głębi i znakomitości, o których sobie imaginował. Ale ta przenikliwość papieska nie popsuła księciu Chigi kariery. Przeciwnie, posłużyła mu. Albowiem wówczas już Inocenty czuł, że niedługo umrze, i gasnąc nie mógł się zdobyć, żeby potępić swój własny wybór. Chigi zaś z tego samego powodu obawiał się niewiele. I w ten sposób spadał na niego nowy zaszczyt; uchodził między ludźmi za człowieka nieubłaganej cnoty i nieugiętej prawości. Nie zalecał się do Siniorii Olimpii, którą na mieście pogardzono. Potępiał głośno wszystko czego wszyscy nie pochwalali. I ci wszyscy są i po wieczne czasy będą dudkami, będą nabierani na to, co schlebia ich niechęciom i podziwiali stałość, cnotę, gdzie należało conajwyżej pochwalać rozsądek, który wskazywał księciu Chigi, że nie napróżno sieje on sobie chwałę, sieje ziarno pod przyszły pontyfikat, sieje na polu, gdzie jeszcze nie miał nic do zbierania.

* * *

W trzy wieki później przejmował nad rozległym krajem władzę, która jeśli nie była w każdym zakresie absolutna, była niepodzielna nad wojskiem; otrzymując ją po śmierci wieloletniego dyktatora, generał dywizji Edward Rydz-Śmigły natychmiast zmienił swe nazwisko na Śmigły-Rydz. Poczem oficerom i żołnierzom kazał w czapki powkładać kwadratowe tekturki, a gdy w rok później uzyskał rangę marszałkowską, generałom obmyślił taki układ wężyka na czapce, żeby zdaleka było widać, czy zbliża się generał brygady czy dywizji, generał broni czy marszałek. Oficerom zabronił innego od żołnierzy kroju płaszcza, ale przepisał za to wyróżniające się na największą odległość peleryny.

Gdy zoperowano mu migdałki podał o tym obszerny komunikat do gazet, zamieszczony oczywiście na naczelnych miejscach — a było to w dniach, gdy wielkimi krokami zbliżała się wojna, której sobie nie wyobrażał. Nie miał imaginacji, która by pozwoliła stworzyć wysiłkiem talentu postać wojny współczesnej, niepodobnej, wskutek postępu technicznego, do przestarzałej wojny 1914, czy archaicznej 1920.

Gdy obejmował władzę wiadomo było, że dotąd był oficerem z linii i zawsze pełnił funkcje dowódcy; wiadomo było tylko, że przez całe dziewięć lat dyktatury wojskowej i łatwo mu dostępnej kariery politycznej, pozostał w wojsku i nie szukał ról dających fotografię w pismach i kronice aktualności w kinematografach. Ani na placu Saskim nie składał pomnikowi księcia Józefa raportu, że marszałek Piłsudski został wybrany Prezydentem Rzeczypospolitej, ani nie został prezesem Ligi Mocarstwowego Rozwoju Polski czy Banku Gospodarstwa Krajowego. Nie był zamieszany w żaden skandal polityczny, finansowy, erotyczny, w życie nocne Warszawy. Nie chodził obyczajem rządowym do kabaretu, czasami pokazywał się skromnie w cywilnym ubraniu w towarzystwie żony w Teatrze Letnim na pięcioaktowych komedjach Scribe'a i Légouvé'go. Na jednym z dorocznych zjazdów legionowych nie zajął miejsca pośród generalicji czy pułkowników tytułowych, rządzących krajem, a tylko poczciwie poszukał sobie miejsca między podoficerami na galerii.

To zjednało mu opinię człowieka przekonań radykalnych. Że nie uwijał się około wielkiego ołtarza i Belwederu wydobyło na jaw rzadki rys charakteru: niezależność. Więc gdy obejmował władzę, wydawało się, iż musi być w opozycji do systemu politycznego, wydawało się pewnym, iż jako nieskorrumpowany polityką jest prawdziwym żołnierzem, oddanym swemu rzemiosłu. Jego młodzieńcza postawa i szczery uśmiech budziły zaufanie.

Adam Mauersberger

800-lecie Moskwy — sobór Błog. Wasyla

POST SCRIPTUM:

LA ROCHEFOUCAULD *tłumaczył*
ADAM MAUERSBERGER

PORTRET KARDYNAŁA RETZA

Paweł de Gondi, kardynał de Retz, ma wiele dostojeństwa. Jest umysłu rozległego, ale więcej w nim chęci pokazania się, niż rzetelnej wielkości i odwagi. Pamięć ma nadzwyczajną i więcej w słowach siły, niż grzecznej zręczności. Usposobienia łatwego i uległy, pobłażliwy nawet, gdy wysłuchuje skarg i wymówek przyjaciół. Mało pobożny, z trochą pozorów religijności. Zdaje się ambitny, nie będąc nim. Próżność i ci, którzy przy jej pomocy nim powodują, sprawili, że przedsięwziął wielkie czyny, (prawie przeciwne jego powołaniu). Wzniecił największe zamieszki bez zamiaru, aby mu służyły. Nie zamierzał ogłosić się przeciwnikiem kardynała Mazariniego, by zająć jego miejsce, myślał tylko by wydać mu się groźnym. Pochlebiał sobie fałszywą próżnością, że mu się przeciwstawił. Tym nie mniej zręcznie umiał skorzystać z powszechnych nieszczęść, żeby zostać kardynałem. W więzieniu się nie ugiął i zawdzięcza wolność własnej zuchwałości. Lenistwo było mu chwalebnie podporą przez wiele lat w ciemnościach wędrownego życia, unikającego światła. Mając przeciwko sobie potęgę kardynała Mazariniego, zachował arcybiskupstwo paryskie. Zrzekł się go po jego śmierci. Nie wiedział, co robił, bo mógł chwytając się takiej okazji zaszachować interesy swoich przyjaciół i swoje własne. Brał udział w niejednym konklawe, gdzie swym postępowaniem zawsze sobie przyczyniał powagi. Naturalną jego skłonnością jest próżnowanie, a jednak pracuje żwawo nad sprawami, które go naglą. Gdy już skończył, odpoczywa niedbale. Ma wielką przytomność umysłu i do tego stopnia umie obrócić na swoją korzyść okoliczności, które ofiarowała mu fortuna, że wydaje się, iż je przewidział i ich żądał. Lubi opowiadać. Chce olśnić — obojętne kogo — opowieścią nieprawdopodobnych przygód i wtedy często imaginacją nastarczy więcej, niźli pamięcią. Sztuczny w swych przymiotach, gdyż to co przede wszystkim złożyło się na jego sławę — jest umiejętnością. Dzięki niej zdołał wadom nadać piękny pozór. Jest nieczuły w przyjaźni i w nienawiści, mimo, iż usiłował wywołać wrażenie, że jest zajęty jedną czy drugą. Jest niezdatny do zazdrości i skąpstwa, czy to dla cnoty, czy to dla opieszałości... Jest pozbawiony smaku i delikatności. Wszystko go bawi i do niczego nie ma zamiłowania. Wymyka się zręcznie i nie daje przeniknąć, że ma tylko nieznaczną znajomość wszystkiego. A niedawne odsunięcie się, — to najbardziej świetny i fałszywy postępek jego życia. To ofiara, która składa swej dumie pod pozorem pobożności: opuszcza dwór, do którego nie może już przylgnąć, i oddala się od świata, który oddala się od niego.

LA ROCHEFOUCAULD
tłum. Adam Mauersberger

WILHELM SZEWCZYK

W SPRAWIE NIEMIECKIEJ

W n-rze 35 „Kuźnicy" ukazała się notatka pt. „Dane Szewczyka", podpisana ph., z której wynika, jakobym w artykule moim „W sprawie bitwy pod Zurychem" („Odra", nr. 89) miał popełnić dwa błędy.

Sprawa pierwsza to rola i miejsce Stefana George'go na polityczno-ideowym szlaku literatury niemieckiej ostatniego ćwierćwiecza. Ph twierdzi i próbuje to uzasadnić, że George nie był „prorokiem III Rzeszy" (nb. cytat jest dowolny, napisałem bowiem piewca a nie prorok, natomiast „prorokiem Trzeciej Rzeszy" nazwał George'go już K. Grzybowski w „Twórczości" str. 83, I 1946. Dlaczego wówczas nie protestował ph?). Wobec tego trzeba będzie przypomnieć pewne fakty.

George przeszedł dziwną drogę, która przyniosła mu pełne uznanie u krytyków hitlerowskich, a wywołała zdziwienie u krytyków niemieckiej lewicy. Poezja jego była zrazu pełnym zwierciadłem niemieckiego neoromantyzmu. Już w tym kryły się pewne niebezpieczeństwa. Neoromantyzm niemiecki ze swoją metafizyką krwi i rasy, ze swoimi przewodnikami Wagnerem i Nietzschem, zapładniał powoli wyobraźnię niemiecką nowymi obrazami, a jeśli nie nowymi w dziejach narodowej wyobraźni niemieckiej, to na tle dotychczasowego porządku naturalistycznego jasno zarysowanymi i sugestywnymi. Wiadomo, że neoromantyzm niemiecki pomógł w powstaniu i ugruntowaniu się t. zw. Heimatkunstbewegung, którego główni przedstawiciele co raz więcej pisali według recept Blut-u. Boden ideologii, że wymienię tylko Gustawa Frenssena, Izoldę Kurtz, Wilhelma Schäfera, H. F. Bluncka, Friedricha Griese, Emila Straussa, Hansa Grimma. Lojalnie stwierdzam, że w tej grupie znajdował się także Hermann Hesse, ale choć krytyka hitlerowska zarzuci mu skrajny egotyzm i oddalenie się od narodu, książki jego nie pójdą na indeks i niektóre ich partie krajobrazowe znajdą się w antologiach okresu hitlerowskiego.

Moment przemiany widoczny jest u George'go już w tomie „Der siebente Ring" (1907). Hitlerowski historyk literatury Langebucher, którego książka „Volkhafte Dichtung der „Zeit" (w ciągu 10 lat 10 wydań) była w okresie hitlerowskim najbardziej faworyzowanym i polecanym podręcznikiem nowej literatury niemieckiej, uważa to za pierwszy krok do pojednania się poety z „idącym" narodem: George z poety abstrakcyjnego nieraz piękna staje się piewcą i prorokiem nadchodzącej przemiany, która odwróci kartę dziejów i zakończy epokę rozkładu. Tyle Langebucher. Można się z tym zgadzać lub nie, ale obowiązkiem naszym jest oceniać George'go właśnie z perspektywy tego czasu, w którym poezję jego wykładano jak doktrynę polityczną. A jeśli doktryna ta odpowiadała polityce hitlerowskiej zarówno ideowo jak i kulturalnej to winę ponosi w pierwszym rzędzie sam poeta. Ostatecznie z neoromantyzmu wyrośli także Hoffmannsthal, Rilke i Morgenstern, czytani w Niemczech bez przerwy, a mimo to nie nadający się do aneksji polityczno-ideowej, nie mówiąc już o neoromantyku Wassermanie. Nawet Gerhart Hauptmann pisał ballady według wzorów neoromantycznych, ale choć był oportunistą w życiu, w twórczości na ogół pozostał wierny prawom swojego rozwoju

Cytowałem Langebuchera. To samo jednak powiedzą o George'm krytycy i historycy literatury nie związani z ruchem hitlerowskim lub mu przeciwni, jak np. Werner Mahrholz. I on w swojej „Deutsche Literatur der Gegenwart" nie może powiedzieć o George'm nic innego jak: „Najpierw reformator języka i sztuki, potem mistyczny myśliciel, wreszcie prorok nowego dnia świata, współtwórca niemieckiej jedności narodowej". Najpierw przywódca grupy artystycznej, później współtwórca sekty religijnej, na koniec przywódca ruchu, który świadomie pragnie oddziaływać na szerokie masy narodu. Ideową linię tego oddziaływania obserwować można na dalszych książkach George'go, a więc „Der Stern des Bundes" (1913), uważany za „brewiarz... szczególnie dla młodzieży na polach bitew", i „Das Neue Reich" (1928) z tak popularnymi w okresie hitlerowskim wierszami jak „Einen jungen Führer im ersten Weltkrieg", „Sprüche an die Toten", „Wenn einst dies Geschlecht sich gereiningt von Schande" czy „Der Dichter in Zeiten der Wirren". Co prawda Langebucher, klasyfikując w r. 1941 już bardzo ostro i niezbyt łaskawie zaliczający poszczególnych pisarzy do literatury będącej po hitlerowsku zdrową i narodową, pisze, że nowe państwo George'go to nie tyle przez Hitlera stworzona narodowo - socjalistyczna III Rzesza, ile pojęcie artystycznej formy życia ale że „nastawienie i postawa, do której w wierszach tych nawołuje, odpowiada wymaganiom nowego porządku życia narodu niemieckiego także i w dziedzinie politycznej".

Nie twierdzę, że w strofach George'go należy szukać niemieckiego faszyzmu, twierdzę jednak, że strofy te, zwłaszcza powstałe pod koniec życia poety, umacniały pozycje faszyzmu w dziedzinie ducha, w dziedzinie artystycznej. George umarł poza granicami Niemiec, dokąd udał się w r. 1933. Byłoby jednak błędem uważać go za emigranta. Nie wyjechał z Niemiec na skutek zwycięstwa hitleryzmu, z nikim się nie pokłócił. Drogi jego życia nieraz wiodły na dłuższy okres za granicę, była to zatem jeszcze jedna podróż artystyczna. Po jego śmierci 4 grudnia 1933 w Niemczech uczczono go jako „proroka i pioniera nowopowstałego Reichu" (Lübbe-Lohrmann: Deutsche Dichtung, 1941). Wątpię, czy uczyniono by to, gdyby twórczość jego nie dała do tego powodu. Nikt też jednak nie potępia całej jego twórczości i zgadzam się z ph., że George jako klasyczny już dziś poeta ma duże zasługi w rozwoju wyrazu artystycznego i nawiązywaniu do tradycji kultury romańskiej.

Sprawa druga to sprawa grupy Das heimliche Deutschland. Powtarzam wyraźnie: grupy, a nie organizacji, jak błędnie cytuje mnie ph. Jest przecież zasadnicza różnica między obu pojęciami. Grupę Heimliches Deutschland nazywano jeszcze w okresie przedhitlerowskim pisarzy, którzy będąc politycznie pisarzami reakcji opowiadali się za ideologią narodowego socjalizmu, lub reprezentowali t. zw. volkhafte Dichtung, twórczość zgodną z hasłami nacjonalistycznymi, imperialną (Hans Grimm „Das Volk ohne Raum"), lub germańsko-mistyczną. Werner Mahrholz wymienia kilku tylko przedstawicieli tej grupy, dobierając nazwiska dość jednostronnie: mistyk Hermann Stehr, Röttger, Carossa, Backmeister. W rzeczywistości pojęcie Heimliches Deutschland było szersze i właściwe swoje znaczenie uzyskało w epoce hitlerowskiej, kiedy główni jej literaccy bohaterzy nazywali siebie z dumą jako „wywodzących się z grupy Heimliches Deutschland". Pojęcie to wymaga jeszcze jaśniejszego sprecyzowania i historycznego udokumentowania i niewątpliwie uczyni to nowa niemiecka historia literatury. W każdym razie nie jest ono obce wszystkim, którzy literaturą niemiecką interesowali się we wszystkich jej formach, i to nie tylko emigracyjną, ale i hitlerowską.

Marginesowa uwaga ph o nielicznej grupie prawdziwych pisarzy, którzy solidaryzowali się z hitleryzmem lub też mu ulegli, bardzo odpowiada niektórym współczesnym tendencjom w Niemczech. Tworzy się tam mit bohaterskiego oppru pisarzy niemieckich. Nie mamy potrzeby pomagania Niemcom w tworzeniu tej fałszywej legendy, w rzeczywistości bowiem lista prawdziwych pisarzy uległych hitleryzmowi jest bardzo długa. Niektórzy nie pisali książek a pracowali jako urzędnicy w propagandzie lub Izbie Piśmiennictwa. Bardzo obok Hauptmanna ceniony Kolbenheyer był ideologiem hitlerowskiego piśmiennictwa. Wielu z nich świat nie zna, pomimo że byli prawdziwymi pisarzami, nie przekładano ich bowiem ze względu na ich reakcyjność. Trzeba o tym pamiętać, jeśli się mówi o prawdziwej literaturze niemieckiej, prawdziwej oczywiście z punktu widzenia sztuki. Polityka przekładowa wszystkich prawie narodów w okresie hitlerowskim, faworyzująca emigrantów, była oczywistym protestem przeciwko metodom panującym w Niemczech. Dzięki temu wiele nazwisk pisarzy niemieckich pozostało dla reszty świata pustym dźwiękiem. Nie należy tego żałować, ale kto o tym pisze, musi sprawę znać dokładnie. Tomasz Mann nie mógł się doliczyć kilkunastu pisarzy, godnych członkostwa PEN-klubu. Wśród wymienionych szesnastu „niezłomnych", kilku współpracowało z hitleryzmem (wymieniłem nazwiska w moim artykule). Sam surowy Tomasz Mann nie jest bez winy, co wykazał ogłoszony ostatnio na łamach prasy niemieckiej list jego do ministra hitlerowskiego Fricka z prośbą o umożliwienie powrotu do Niemiec, obiecując wzamian za to, „skoro przemówiła historia", pogodzić się z rzeczywistością. Ostatecznie jest to drobnostka. Mann poszedł później inną drogą, wspomnianą to tu jednak, by wskazać, jak bardzo skomplikowana była sytuacja psychiczna wobec hitleryzmu, jeśli sam Tomasz Mann miał wahania.

Kiedy się obserwuje z bliska dzisiejsze wydarzenia i spory literackie w Niemczech widzi się główną tendencję: przebaczania pisarzom współpracę z hitleryzmem, tendencję denazyfikacyjną w stosunku do większości pisarzy. Dlatego wybaczono Falladzie współpracę z Goebbelsem, Kellermannowi członkowstwo w Izbie Piśmiennictwa Rzeszy, toż samo oraz żywą działalność literacką w okresie hitlerowskim Wiechertowi i Ricardzie Huch, redagowanie gazety frontowej „Adler im Süden" Gläserowi, pacyfiście i autorowi „Ostatniego cywila", nawet w zachodniej strefie okupacyjnej wydrukowano już cały cykl „powrotów" takich herosów hitlerowskich jak Kolbenheyer, Gerhard Schumann, H. F. Blunck. Już i wśród niektórych pisarzy działających w strefie okupacyjnej sowieckiej przyjmują się te tendencje. Cóż, pisarzy jest zaledwie dwustu, a naród sześćdziesięciomilionowy. Zanim ktoś będzie próbował urządzić literacką Norymbergę (pojawiła się ta koncepcja na krótko wśród samych Niemców w „Weltbühne", ale nikt się nią poważnie w świecie nie zajął), nastąpi już prawdopodobnie zbliżenie i wymieszanie pisarzy skompromitowanych z nieugiętymi. Nieugięci będą panować u góry, tamci zaś, rezygnując z wodzostwa, obsiądą dół drabiny literackiej. (Piszę o tych sprawach szerzej w mojej książce „Literatura niemiecka po wojnie", wydanej przez poznańskie Wydawnictwo Zachodnie). Również i w Austrii jest nie lepiej. Mówią o Weinheberze, że niepotrzebnie zastrzelił się w chwili wkroczenia wojsk sowieckich do Wiednia, bo by mu wybaczono; zdenazyfikowano już Mirkę Jelusicha, znanego także z przekładów polskich, propagatora zasady wodzostwa w swych powieściach historycznych, a Max Meill, o którym ph wspomina, najpierw poeta religijny, później zaś entuzjasta Anschlussu i narodowego socjalizmu, także już dał znać o sobie w wydawnictwie Johann Schönleitner w Aichkirchen. Co prawda kilku tylko wierszami.

Wracając do George'go zaznaczyć jeszcze trzeba, że choć polityka pełnego wybaczenia w pierwszym rzędzie od niego powinna by zacząć, to pomimo to na jednym z zeszłorocznych wieczorów berlińskiego Kulturbundu mówiono o konieczności wymazania z jego twórczości wierszy typu „Das Neue Reich", jako szkodliwych w akcji wychowania narodu niemieckiego

Wilhelm Szewczyk

STEFAN OTWINOWSKI

W KRAKOWIE

(List dwudziesty siódmy)

PO OSTATNIM swoim felietonie spotkałem się z zarzutami, że przeciw słusznym zastrzeżeniom Kotta wystąpiłem z obroną miernoty. Wskazałem sztuki co najwyżej średnie. Gra nie warta świeczki. Czyli, że jak walczyć — to o lampy łukowe... I tak dalej. Wiemy. Ale rozum na rozum, jak powiedział mój pewien znajomy — zastanówmy się, czy można liczyć odrazu na te lampy? Czy kraje o wysokiej cywilizacji oświetlane są aż w tak wspaniały sposób? I nowoczesny. Ogólnie — czy urządzać współczesność, to znaczy czekać na arcydzieła dzisiejszego postępu? A skoro nie ma tych arcydzieł? Nawet we Francji? Nawet w Anglii. I jeśli są wspaniałe w formie (Camus) — to czy treść ich da się upowszechniać w zgodzie z humanistycznym, czy społecznym sumieniem... Cóż więc robić. Zdaniem moim — organizować własny poziom średni, własną strukturę światopoglądową. Postęp nie powinien oglądać się na dobry los. A zresztą i dobry los jest kwiatem zbiorowego wysiłku. Arcydzieła bez średniego, stałego postępującego urodzaju nie dokwitają, nie owocują łatwo.

*

W Krakowie mówi się dużo o konkursie Szekspirowskim, O krzywdzie, która spotkała Kraków. Żadnej nagrody, żadnego wyróżnienia. A przecież nawet powściągliwi Anglicy bardzo chwalili dekoracje Kosińskiego. Myśleliśmy, że to komplement cichy — tymczasem publicznie w swoim kraju oświadczyli to samo... Szkoda nam Kosińskiego, bo to jeden z niewielu wybitnych dekoratorów naszego pokolenia. Zawsze go zagranicą wyróżniali. W kraju nie ma szczęścia. I w dodatku chory na płuca. W kraju.

*

Boże drogi, co ten Peiper nie wypisuje o tym Szekspirze. Na tak prostym, pięknym tle, aż tak skomplikowane dziwactwo. Siedziałem cicho, kiedy zresztą bardzo zasłużony krytyk pisał o Flukowskim. Nie kłóciłbym się z Peiperem o to, co powinna napisać Świrszczyńska, żeby Peiper był zadowolony. Nie miałem pretensji o imputowanie mi zamysłów nigdy nie śnionych nawet, ale teraz... Ale teraz zgłaszam żal w kierunku red. Kuryluka. Szkoda, że „Odrodzenie" straciło dwóch interesujących krytyków teatralnych. Dwóch panów, T. Brezę i Balickiego. Szkoda nam okazji Szekspirowskiej.

*

W Krakowie zaczął się sezon teatralny. Teatr TUR-u wystawił starą, naiwną sztukę Morozowicz - Szczepkowskiej „Walący się dom" tak się to bodaj kiedyś nazywało. Żeby nie wywoływać wilka z lasu, żeby się rzeczywiście coś nie zwaliło, dyr. Rodziewicz zmienił tytuł na „Rodzina Rakuskich". Chodzą w Krakowie na tę sztukę, bo myślą, że chodzi o Dom Habsburgów.

*

Ja chodzę gdzieindziej. Oglądać, jak w Krakowie reperują szyny tramwajowe. Jak? Chodzę od trzech tygodni — i nie mogę dociec, o co chodzi. Dlaczego aż tak długo. Na odcinku 100 metrów, między ulicą Grodzką a kościołem Franciszkanów — co kilka kroków jeden robotnik, a nad nim dwóch inżynierów. Robotnik coś poklepuje a dozorujący inteligenci patrzą, dyskutują — czasami coś pokażą robotnikowi. Kiedy zaczyna padać deszcz, wszyscy chowają się do bram. Patrzą, jak pada deszcz. A deszcz jak deszcz — raz w prawo, raz w lewo. Zawsze z góry na dół. Pada teraz dużo deszczów. Nie długo zacznie padać śnieg. Chwyci mróz. Ziemia zamarznie. Co zrobić z ulicą? Aby do wiosny... Tak żyją technicy w mieście słynnym z kultury humanistycznej. Tak, tak — humanizm, to teoria zarażająca praktykę. „Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły"... Chodzę sobie oglądać, jak dziesięciu inżynierów - humanistów nie może zreperować w ciągu miesiąca 100 metrów szyn tramwajowych.

*

Poza tym na Plantach jesień. Wcześniejsza, jak w innych latach. Po wyjeździe Przybosia — jesień sentymentalna. Został bowiem tylko jeden w Krakowie poeta. Gałczyński nie brzydzi się nastrojami. Szkoda tylko, że od czasu do czasu przeholuje z dowcipem. Myślę o trawestracji „Trenów" w „Przekroju", o poincie z penicyliną. Że — ponieważ jest już penicylina — więc nie ma już żalów. Są. Nie przesadzajmy. Jest choćby żal u czytelników, kiedy pisarzowi nie uda się koncept... Nie można, drogi Konstanty, wszystkiego brać siłą. Trzeba czasami spauzować. Jesień jest — mimo wszystko, — porą żalów, smutku, liści spadających. I gwiazd. I gwiazd — kiedy deszcz nie pada.

Ale pada znowu. Więc myślę o biednych krakowskich inżynierach...

I kończę przepraszając wszystkich — szczególnie Peipera, którego odwaga podniecała mnie kiedyś do artystycznych czynów — i śmiałych. Jak ten czas leci.

Stefan Otwinowski

PRZEGLĄD PRASY

Z okazji ukazania się setnego numeru naszego pisma, rozmaite tygodniki literackie oraz większość prasy codziennej zamieściła obszerniejsze wzmianki lub artykuły o „Kuźnicy".

Na ogół porzucono w okresie powojennym zwyczaj, lansowany niegdyś przez „Wiadomości Literackie", które regularnie zamieszczały wyjątki z wypowiedzi innych pism na swój temat. W okresie przedwojennym taka autoreklama miała charakter raczej merkantylny. Jeśli w bieżącej kronice zacytuję wypowiedzi prasy na temat „Kuźnicy", uczynię to tylko dlatego, by odpowiedzieć na ogólnie przyjęty przez naszych oponentów zwyczaj wypowiadania na temat naszego pisma sądów najzupełniej dowolnych, nieraz sprzecznych z rzeczywistością. Z okazji jubileuszu te dowolne oceny zostały sprostowane. Był to w stosunku do „Kuźnicy" rodzaj dnia bez kłamstwa. Spróbujmy więc zestawić sądy dnia powszedniego z oceną jubileuszową.

We wszystkich ocenach pracy naszego pisma, które dotąd zdołałem zebrać, poczynając od „Odry" poprzez Nowiny Literackie", na paryskiej „Gazecie Polskiej" kończąc, podkreślono polemiczny i dyskusyjny charakter wypowiedzi na temat ogólnej polityki kulturalnej, którym „Kuźnica" większość swoich szpalt poświęca. Polemika i dyskusja — a więc nie arbitralność i dyktatura, jak to sobie wciąż jeszcze naiwnie wyobrażają np. redaktorzy dodatku literackiego do „Gazety Ludowej".

Posłuchajmy „Odry": „Można... mówić (o „Kuźnicy") jako o organie intelektualistów skrajnej lewicy polskiej, organie dość ekskluzywnym, w którym współpraca rzuca na człowieka w oczach niektórych ludzi czerwony cień, tak jak „Tygodnik Powszechny" rzuca zaraz cień klerykalizmu. Tak samo jak prasa katolicka jest konsekwentna w swym katolicyźmie „Kuźnica" jest konsekwentna i nieustępliwa w marksiźmie, co naturalnie musi doprowadzić do licznych starć i polemik pomiędzy dwoma obozami. „Kuźnica" polemizuje i dyskutuje dużo i namiętnie. Jej publicystykę wyróżnia nie tylko obfitość, lecz i rozmiary, którymi redakcja zgoła się nie krępuje, przedkładając dokładność oświetlenia problemu ponad poręty poczytności".

Podobnie obiektywnie ocenia dorobek publicystyczny stu numerów naszego pisma kronikarz „Nowin Literackich":

„Obserwator dobrej woli, śledzący uważnie rozwój, zakres i kierunek działalności literackiej i publicystycznej „Kuźnicy", spostrzeże bez trudu, że pismo to obrało dla realizacji swych planów drogę nie najłatwiejszą. „Kuźnica" jest pismem walczącym, pełnym wewnętrznej dynamiki, zacięcia i konsekwencji ideowej. Terenem walki czasopisma jest zagadnienie przebudowy życia kulturalnego Polski zgodnie z postulatami nowego demokratycznego porządku. Ponieważ procesy, dokonywujące się w świadomości ludzkiej są z reguły powolne i nie rozwijają się równolegle do przemian ustrojowych, walka o nowe formy kultury i sztuki wymaga specjalnego zrozumienia, szerokich horyzontów i wysokiego poziomu umysłowego. „Kuźnica" prowadziła i prowadzi tę walkę ostro, konsekwentnie, z wielkim kunsztem i na wszystkich możliwych odcinkach. Dorobek stu numerów łódzkiego tygodnika pozwala wysnuć

wniosek, że „Kuźnica" zajmuje po postępowej stronie barykady zmagań o nowy i sprawiedliwy ład ludzki jedno z czołowych miejsc wśród polskich czasopism. Mała „Kuźnica" — jak zresztą każde poważne pismo — chwile słabości obok momentów wzlotów, ogólny jednak bilans jest (na przekór głupawym i zjadliwym uwagom „Gazety Ludowej" vide nr. 215 z dnia 7.7. 1947 r.) pod każdym względem dodatni".

Pewnym wyjaśnieniem dotyczącym ideologicznego charakteru „Kuźnicy", którą chętnie nasi oponenci radzi by ścisnąć do wymiarów jakiejś sekty, służyć może ocena zamieszczona w „Trybunie Wolności". Podaję ją in extenso:

„Kuźnica" jest pismem redagowanym przez marksistów. Oczywiście nie znaczy to wcale, że jest ona pismem jednolicie marksistowskim i że wszyscy piszący do „Kuźnicy" są marksistami. Pismo jest trybuną marksizmu, ale nadto drukuje artykuły, które, najogólniej biorąc, głoszą poglądy i myśli postępowe.

Co wyróżnia „Kuźnicę" wśród innych tego rodzaju periodyków polskich? To właśnie, że nie jest pismem bezbarwnym eklektycznym ideowo, ale o określonym poglądzie na świat, że mimo bardzo szerokiego wachlarza nazwisk autorów drukowanych, linia ideologiczna jest równa, wyraźna i mocno nakreślona.

A trzeba przy tej sposobności podkreślić, jak bardzo jest to w Polsce potrzebne, wobec chaosu myślowego wśród naszej inteligencji, która usiłuje w swym światopoglądzie godzić zupełnie sprzeczne i nie do pogodzenia postawy, gdzie ciągle jeszcze miesza się pojęcie wolności z liberalizmem, postępu z indywidualizmem, łączy w jedną całość demokrację z elitaryzmem, a politykę z romantycznym gestem. Przecież nawet wśród „marksistów" zdarzają się u nas wyznawcy idealistycznej filozofii, a wśród wielu antyfaszystów wielbiciele Nietschego czy Bergsona. Cóż dopiero — gdy chodzi o poglądy na literaturę czy sztukę!

W chaosie tym „Kuźnica" stara się szerzyć jasną, trzeźwą myśl, stara się rewidować poglądy na przyszłość ustala pozytywny stosunek do dzisiejszej rzeczywistości polskiej, wyjaśnia znaczenie zachodzących przemian. I już przez to samo że stara się zająć na ogół wyraźne, jednolite stanowisko w każdej sprawie, którą porusza, czy będą to zagadnienia gospodarcze, polityczne, czy filozoficzne, sprawy przeszłości, czy aktualne, uczy właściwego systemu myślenia, nawet zdecydowanym przeciwnikom swojego światopoglądu pomagając do skrystalizowania własnych myśli.

To kształcące i pobudzające do myślenia działanie „Kuźnicy" zdaje się nie ulegać wątpliwości. Świadczą o tym ożywione dyskusje, toczące się dokoła tego pisma, jak również dyskusje prowadzone na łamach samej „Kuźnicy". Prawie żadne z ważnych zagadnień dnia dzisiejszego nie zostało pominięte, zwłaszcza jeśli chodzi o zagadnienia życia kulturalnego. Dyskusja na temat młodzieży oświaty, reformy szkolnictwa, na temat rodowodu i postawy naszej inteligencji, na temat realizmu w literaturze, czy ciągle jeszcze trwająca dyskusja na temat humanizmu socjalistycznego, budzą powszechne zainteresowanie, przyczyniając się niewątpliwie do wyjaśnienia i zrozumienia tych zagadnień, a w każdym bądź razie pobudzają do myślenia i analizy.

W trudnym okresie przemian, wszystko co sprzyja wychowaniu nowego człowieka dla nowej rzeczywistości ma duże i pozytywne znaczenie; wszystko co wyjaśnia i tłumaczy zachodzące przeobrażenia, co ukazuje ich perspektywy w przyszłości, przyczynia się do zbliżenia człowieka do współczesnego życia. Dlatego też rolę, jaką spełnia u nas „Kuźnica" należy uznać za ważną i za konstruktywną".

Aby zbytnio nie zasmucać naszych oponentów o złej woli, przytoczę również i zastrzeżenia, wypowiedziane przez sprawozdawcę popularnego tygodnika Polskiej Partii Robotniczej. Oto one:

„Pismo to poruszając jednak tak szeroki zakres zagadnień, przy tak rozległej skali współpracowników, popada często w sprzeczności, podtrzymuje czasem jednostronne oceny. Gorzej — czasem apodyktyczność sądów, chęć ustalenia zasady, że tylko to, co głosi „Kuźnica" jest jedynie słuszne i że nie zgadzać się z „Kuźnicą" znaczy mylić się — utrudnia zespołowi samokrytyczną ocenę swej pracy. Zdaje się jednak, że należy to już do przeszłości".

By jednak radość ich nie była zupełna muszę stwierdzić, że sprawozdawca „Trybuny" ma rację. Apodyktyczność sądów „Kuźnicy" należy do przeszłości. Wynikała ona z nierozwiniętego w pierwszym okresie wachlarza pism. Wszystkie jednak przeprowadzone od wielu miesięcy na łamach „Kuźnicy" dyskusje, choć toczą się zasadniczo w ramach określonego poglądu na świat, pozwala ją czytelnikowi na swobodny wybór stanowiska. Ten swobodny wybór, a raczej swoboda w wyborze, będzie oczywiście czymś więcej niż poczciwym liberalizmem tylko wtedy, gdy dyskusji przysłuchuje się czytelnik odpowiednio przygotowany. Ale odpowiednie przygotowanie czytelnika, to nie znaczy „elitarność i ekskluzywizm pisma", jak to nam zarzuca w swym życzliwym artykule „Trybuna".

Oddzielną sprawą jest literatura w „Kuźnicy". Wydaje mi się, że po dość programowym artykule Żółkiewskiego, swoboda z jaką „Kuźnica" traktuje trudne zagadnienia artystyczne nie powinna nikomu wydać się dziwna. Ataki na współczesną literaturę, jeśli są, mają zawsze ostrze ideologiczne; w sprawach artystycznych, „Kuźnica" działa ostrożnie, choć i tu nie zarzeka się konieczności ustalenia formuł i zasad. Kampania przeciwko dobrej tradycji, dobremu rzemiosłu, wielokierunkowości prądów literackich, odbywa się dziś poza łamami „Kuźnicy". Znaleźć jej ślady można w mało tolerancyjnych wystąpieniach p. Dzikowskiego, w niektórych publikacjach tygodników katolickich i — choć z innych pozycji prowadzoną — w jednym z ostatnich numerów „Odrodzenia". Przywykło się pomijać literacką stronę pisma. Czasem gdy czytam wzmianki wydaje mi się, że nasi recenzenci przeczytali ostatni numer „Kuźnicy" przed rokiem. Chętnie zwraca się uwagę na artykuły publicystyczne, przymykając oko na to, iż przez szpalty „Kuźnicy" przewinęło się kilkaset nazwisk reprezentujących najlepszą część polskiej literatury: zabiegaliśmy o współpracę pisarzy uznanych, pomagaliśmy debiutom.

Wbrew lansowanym pogłoskom, ścisły zespół redakcyjny nie stanowi bynajmniej grupy literackiej. Vide „Nowiny Literackie".

„Kuźnica" należy do wyjątkowych pism, które potrafią zorganizować pewną zwartą programowo i zróżniczkowaną artystycznie grupę pisarzy, którzy bez wątpienia wzbogacili literaturę polską niejednym utworem. Tygodnik nie żył „przygodnym chlebem" literackim, mając możność oprzeć się o zespół pisarski, nie tworzący wprawdzie „szkoły" literatury, reprezentujący jednak pokrewne założenia i tendencje.

Pomawia się nas chętnie o całkowite zaprzeczanie wartości literackiej dzieł ideologicznie nam obcych i o wynoszenie pod niebiosa utworów pisarzy z nami związanych. Taki sąd przeczy oczywiście faktom. Posłuchajmy trafnego spostrzeżenia „Odry":

„Interesująca jest postawa grupy „Kuźnicy" w sprawach sztuki. Pismo, którego zasadą podstawową jest sztuka upowszechniona, wyrównanie różnic kulturalnych w masach, dziełu sztuki stawia najwyższe wymagania artystyczne i bez pardonu odsądza od wartości wszystko, co traci łatwizną i obliczaniem na popularność. Szczególnie ostro zaś sądzi dzieła, które nie odpowiadają jej ideologii. To jest minus tej postawy, minus tym większy, iż w tym względzie czasopisma katolickie zdobywają się na większy obiektywizm oceny, choć grzeszą łatwymi zachwytami nad tym, co im ideologicznie odpowiada. Tu znów „Kuźnica" w stosunku do swoich autorów wykazuje większy krytycyzm, choć popiera ich gorąco zawsze i wszędzie. Ten krytycyzm wykazuje też często w odniesieniu do wielu zjawisk naszego życia powojennego, co powiększa doniosłość jej niektórych wystąpień".

Tym zamknę ten postjubileuszowy rachunek sumienia. Zapewne kolejne sto numerów „Kuźnicy" wzbudzi znowu zarzuty podobne do tych, jakie podnosiły się w okresie minionym. Zapewne znowu dopiero z okazji następnego jubileuszu usłyszymy kilka głosów szczerej prawdy. Nagany i pretensje oponentów nie powinny nigdy przyczyniać zmartwienia. Nie pamiętam dokładnie, lecz wydaje mi się, że to August Bebel oświadczył: Jeśli przeciwnik mnie chwali, to znaczy, że powiedziałem głupstwo.

ph.

Kotły

A jednak się powtarza...

Mam na myśli historię. Bo proszę — oto przerzucając stare pisma natrafiam w „Rzeczpospolitej" z dnia 7 września 1927 r. (tak, tak dwudziestego siódmego) roku t.j. akurat sprzed lat dwudziestu, na taką oto wiadomość:

„Londyn, 6 września (PAT). Times donosi z Jerozolimy, że ogłoszony został projekt umowy między Anglią a Transjordanią, przyznający Transjordanii pełną niezawisłość pod emirem Abdullą z jego synem Talalem jako następcą. Anglia przyrzeka dostarczenie potrzebnych doradców technicznych".

Depesze z dni następnych donosiły już o staraniach „niepodległej" Transjordanii w celu zgłoszenia akcesu do Ligi Narodów.

Czytałem tę notatkę i podziwiałem szczodrość Anglii. W ciągu jednego dwudziestolecia drugi raz już obdarza niepodległością daleką Transjordanię, drugi raz przyrzeka dostarczenie potrzebnych doradców technicznych i na prawdę dziwić się należy, że Narody Zjednoczone nie chcą zrozumieć tego i odrzucają wniosek Transjordanii, która chce zostać członkiem — tym razem ONZ. Może więc dać Transjordanii pełną niezawisłość po raz trzeci?

m m.

Miesiąc wymiany kulturalnej

Wpadłem do lokalu Zarządu Gł. Tow. Przyjaźni Polsko - Radzieckiej. Jak zwykle wzajemne naciąganie — oni mnie na odczyt, ja ich na książki. Od 15 września organizują miesiąc wymiany kulturalnej polsko - radzieckiej. Obiecałem odczyt — dali dla „Kuźnicy" parę książek. Ale Bielińskiego nie chcieli dać. Kosztuje tylko 200 zł. — mówią, kupcie w księgarni. Ano, dobra. Książki opieczętowali pięknym hasłem — „Wymiana myśli dźwignią postępu". Słusznie, bardzo słusznie. Walę na Marszałkowską do księgarni. Witają mnie pracownicy wyraźnie zakłopotani. W tej księgarni bywa nie tylko zwyczajna publiczność. Część znaczna to entuzjaści kultury radzieckiej. Bywają często. Rozchwytują książki. Są, między nimi a pracownikami księgarni pewne nici sympatii. Jest Bieliński? pytam. Ostatni egzemplarz! Cena? Wyraźna konsternacja. Właśnie widzi Pan od dziś nastąpiła podwyżka... decyzja ministerstwa... Krótkie obliczenie. Tom Bielińskiego kosztuje dziś ponad 1000 zł. O, psiakrew! W majątku mam 700 zł. I trzeba zjeść obiad. Więc może chociaż kupię ostatni zeszyt miesięcznika „Nowyj mir". Znów trochę mnożenia 402 zł. Za zeszyt czasopisma takiego jak „Twórczość"! Masz ci miesiąc wymiany! I to 9 września — na tydzień przed rozpoczęciem miesiąca propagandy kultury radzieckiej. To ci ułatwienie! Że moje uszanowanie! A właśnie i teraz ukazał się w ZSRR szereg książek, które musi mieć każdy humanista i działacz kulturalny z prawdziwego zdarzenia. Ot, choćby znakomita rzecz Grekowa: „Krestjanie na Rusi s drewniejszych wremion do XVII wieka".

Mam wielką nadzieję, że odpowiednie czynniki znajdą wyjście, by książki i czasopisma radzieckie były jednak przynajmniej tak dostępne jak polskie. Oczekujemy jakichś kroków Min. Skarbu.

żłk.

Zawiedzeni

Prasa brazylijska pisze, że robotnicy sprowadzeni z Europy spośród tzw. displaced persons („osoby przemieszczone") do pracy w kopalniach, skarżą się na nieludzkie warunki tej pracy, nędzną zapłatę i ohydne pomieszczenia. Niektórzy odmawiają wykonywania pracy, inni próbują ucieczki. Władze brazylijskie pilnie czuwają, aby przybywające z Europy grupy robotników nie komunikowały się z tymi, którzy już pracują w kopalniach, ponieważ takie kontakty wywołują utrudnienia w akcji rozdziału nowych robotników na miejsca wyznaczonej im pracy.

Tak jest na drugiej półkuli, w dalekiej Brazylii. A w Europie?... W Belgii aresztowano ostatnio wielu spośród sprowadzonych robotników. Pomiędzy aresztowanymi są Polacy, Rosjanie, Ukraińcy. Ich przestępstwo polega na tym, że „nie zdołali przyzwyczaić się do pracy w kopalniach". Nie lepiej dzieje się i w Anglii. Jeden z posłów konserwatywnych oświadczył w Izbie Gmin, że „osoby przemieszczone" z dyplomami uniwersyteckimi otrzymują „skromne stanowiska" w fabrykach włókienniczych. Pewien „przemieszczony" z wyższym wykształceniem został zatrudniony w Cambridge przy — zmywaniu naczyń.

bd.

Hipokryzja czyli Janowi Dobraczyńskiemu do sztambucha

„Młoda dziewczyna żyła samotnie. Pewnego dnia złożył jej wizytę młodzieniec, który niósł ptaszka: dziewczyna zaszła w ciążę, pytają, kto jest ojcem dziecka? Ładne pytanie! Oczywiście, że ptaszek.

(Diderot: „Myśli Filozoficzne).

j. k.

George Sand i Mickiewicz

W korespondencji Sainte - Beuve'a znajduję następujące wzmianki o stosunkach George Sand z Mickiewiczem, które, o ile wiem, uszły uwadze naszych istoryków literatury.

W liście z 1 grudnia 1939 roku do pani Juste Olivier pisze Sainte - Beuve: „W dzisiejszej Reuve (des deux Mondes) ukazał się artykuł bardzo wymowny pani Dudevant (George Sand) o Goethem, Byronie i Mickiewiczu: (Essai sur le Drame fantastique: Goethe, Byron, Mickiewicz) Mickiewicza obdarzono w nim gorejącą koroną. Są trzy wielkie ofiary: Goethe, Car i katolicyzm, ale George Sand wybacza się wszystko, sporo głębokich prawd wybuchło w tym uderzeniu pioruna, padnie w nim trochę blasku na katedrę Mickiewicza".

(Correspondence inedite de Sainte Beuve avec M. et M-me Juste Olivier, Bersure, de France, str. 188 — 189).

Jednocześnie w „Notes et Pensees" Sainte-Beuve notuje: „Quinet napisał do mnie o kawałku George Sand o Goethem, Byronie i Mickiewiczu: „To jest żałosne i szkolarskie, wszystko fałszywe albo płaskie. Mogłaby wreszcie przestać pisać na te tematy! W tym samym czasie Maguin jest w bezmiernym podziwie dla tego samego artykułu, Jouffroy również" (Nr. XXXVI, xI. C. d. xI, 458).

W późniejszych listach Sainte - Beuve'a są jeszcze ciekawsze szczegóły.

23. stycznia 1841 roku pisze:

„Pani Sand uczęszcza bardzo gorliwie na wykłady Mickiewicza i któregoś dnia bardzo ją tam oklaskiwano...". I wreszcie 19 lutego 1841 roku najciekawsza notatka: „Wczoraj wieczorem widziałem panią Sand; uwielbia Mickiewicza, ale nie myślę, aby go uwodziła i szukała przygody. To są głupie plotki, a Mickiewicz zresztą nie jest mężczyzną, z którym można wszystko zrobić. Dobrze im jest razem, to wszystko". (Correspondence, str. 255).

A może jednak Sandowa, jak ją nazywa w swoich listach Szopen, zagięła parol na Mickiewicza?

j. k.

Z notatnika brata pisarza czyli słoneczne promienie

„W świetle słonecznym widać wyraźnie prawdziwy realizm. Czy rzemieślnicy, chłopi i pracująca inteligencja czytuje pisma literackie? Nie...

Jeśli jest prawdą, że świadomość jest warunkowana przez byt, to w świetle wydarzeń ostatnich czterdziestu lat należało by stwierdzić, że świadomość ta nie jest identyczna ani z teorią liberalno - kapitalistyczną, ani z teorią marksistowską, ani z teoriami fizyki klasycznej... Rzeczywistość robi swoje. To skromne określenie wydaje mi się najodpowiedniejsze. Wielcy uczeni w ogóle powątpiewają, czy istnieje możliwość uchwycenia istotnych praw rzeczywistości... Literaccy „realiści" robią dużo hałasu... Lecz współczesność nie dociera do nich. Nie widzą wielkiej pracy słońca, atmosfery, człowieka.

Marian Ruth - Buczkowski (brat sławnego pisarza). **„Warszawa" Nr. 10.**

* * *

Wychodząc z kina po zobaczeniu „Serenady w dolinie słońca", widz czuje się jak gdyby i na niego padły słoneczne promienie. Czuje, że jednak warto jest żyć, by przeżyć taką serenadę...

Michał Orchowicz. **„Warszawa" Nr. 10.**

j. k.

NA MARGINESIE DYSKUSJI O PROZIE

Żółkiewski z Kottem.

TREŚĆ Nr 37

Z nieznanych listów Chopina do Delfiny Potockiej. Roger Garaudy — **Komunizm i Moralność (VI).** Mieczysław Jastrun — **Rozmowa o literaturze.** Stefan Żółkiewski **O literaturze współczesnej.** Juliusz Żuławski — **Wiersze.** Vassos Georgiu — **Bohaterska walka narodu greckiego.** Zygmunt Radek — **Pieśń głowy ściętej powstańca greckiego.** Adam Bromberg — **Drogi rozwoju wydawnictw. Kronika Radziecka. Kronika czeska.** Kandyd — **Tak toczy się światek. Przegląd Prasy. Korespondencja Noty.**

Redaguje: Zespół „Kuźnicy". Wydawca: Zespół „Kuźnicy"
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96 — Telefon 205-42.
CENA OGŁOSZEŃ:
Za 1 mm na 1 szpalte 40 zł.
D-018221 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2.